NR 12 (1058)
ROK XXI
19 MARCA
1978 R.
CENA 3 ZŁ

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

W NUMERZE JUBILEUSZOWYM: Historia 20 lat „Odgłosów" na trzech kolumnach ■ Jak przygotowywany jest start do 10-latki? – mówi kurator Podwysocki ■ Jaka będzie przyszłość kultury? – zastanawia się rektor Kuszewski ■ Co się dzieje z Parkiem Poniatowskiego? – pyta A. Makowiecki ■ „Kogo pan reprezentuje?" – opowiada J. Huszcza ■ Reportaż o statkach z Krzyżem Maltańskim ■ Ostatnie lata Eisensteina ■ Przypomnienie Zegadłowicza ■ Wiersze: Biskupskiego, Gicgiera, Jarmołowskiego, Szargana ■ Nowa proza Leona Gomolickiego ■ NOWA POZYCJA: MAGAZYN KULTURALNY – o życiu artystycznym Łodzi i okolic w tonacji nie całkiem serio

ZE STOPKI REDAKCYJNEJ: od lewej: Andrzej Majer, Andrzej Blajer, Eugeniusz Iwanicki, Włodzimierz Stokowski, Bogda Madej, Konrad Frejdlich, Andrzej Makowiecki, Władysław Orłowski, Jerzy Wawrzak, Ryszard Binkowski, Wiesław Jażdżyński, Lucjusz Włodkowski, Grażyna Szypowska, Zofia Jaros, Janina Lason, Janusz Szymański-Glanc, Jerzy Wilmański, Tomasz Soldenhoff, Jerzy Rzymowski, Włodzimierz Parys. *Foto: W. Parys*

DWADZIEŚCIA LAT MINĘŁO...

„Odgłosy" są fenomenem w dziejach łódzkiego czasopiśmiennictwa: nigdy dotąd żaden periodyk z ambicjami nie mógł się pochwalić dwudziestoletnim żywotem. W okresie międzywojennym powstawały wprawdzie jak grzyby po deszczu efemerydy, kończące egzystencję po paru numerach. Czasy powojenne okazały się nie lepsze: **„Wieś"** i **„Kuźnica"** na fali exodusu przeniosły się do Warszawy i dziś pamiętają już o nich tylko historycy prasy; **„Łódź Literacka"** ukazała się pięciokrotnie; **„Kronika"** zawiesiła działalność po trzech latach istnienia. Dopiero „Odgłosy" zaprzeczyły opinii, że Łódź nie ma szczęścia do tygodników.

TAKI BYŁ POCZĄTEK

Zanim pierwszy numer pojawił się w kioskach prasa codzienna ogłosiła konkurs na tytuł nowego tygodnika łódzkiego". Wpłynęło 3.856 odpowiedzi od potencjalnych czytelników nowego periodyku, którym przedstawiono do wyboru trzy nazwy: „Co słychać", „Echo" oraz „Odgłosy". Zdecydowana większość głosów padła na tytuł który na zawsze zrósł się z naszym tygodnikiem, choć nieraz brała nas ochota zastąpienia go innym, bliższym dzisiejszemu modelowi gazety. Ale człowiek nie wybiera sobie przecież nazwiska, on się z nim rodzi. Pogodziliśmy się więc ze swoją nazwą, która ostatecznie przyniosła nam szczęście, skoro ukazujemy się tak długo, wbrew pesymistycznym przeczuciom pierwszego naczelnego **Wiesława Jażdżyńskiego**, który na spotkaniu z czytelnikami przyznawał: „Myśmy płakali nad pierwszymi numerami „Odgłosów", sądziliśmy nawet, że pismo urodziło się pod nieszczęśliwą gwiazdą."

Osesek zdradzał braki charakteru, ale dopisywało mu zdrowie, choć podobno klimat łódzki jest szkodliwy dla dzieci. Toteż drugi rok istnienia pisma odnotowany został specjalną ankietą adresowaną do satyryków: „Czy „Odgłosy" pana bawią? Uczą? Podtrzymują na duchu?". **Tadeusz Giegier** żartobliwie ujawnił obawy środowiska literackiego, które wciąż jeszcze opłakiwało los „Kroniki". „Odgłosy", stwierdził, „uczą mnie odwagi. No, no, zdecydować się wychodzić w Łodzi".

A tymczasem „Odgłosy" wrosły już w pejzaż kulturalny miasta. Miejsce „Ogrodu nie plewionego" coraz częściej zajmuje ambitny reportaż. Próbujemy sobie też zaskarbić sympatie czytelników fundując mieszkanie jako nagrodę w konkursie. Wpłynęło 200 odpowiedzi. Szczęście uśmiechnęło się do **Jerzego Kubika**, któremu w przeprowadzce do bloku na Osiedlu XV-lecia towarzyszy reporter „Odgłosów". Złoży mu potem raz jeszcze wizytę po dziesięciu latach, aby przekonać się, że jesteśmy czytani w ufundowanym przez nas mieszkaniu.

Jesteśmy chyba także czytani w mieście, skoro możemy uroczyście obchodzić jubileusz z okazji 99 numeru. **Wiesław Jażdżyński** w uroczystej mowie obiecuje. „Niechże nam wierzą nasi wierni przyjaciele, że nie porzucimy ich na rzecz bardzo już trudnej i wysublimowanej problematyki."

Ale w zespole nie było zgodnych opinii. **Jarosław Marek Rymkiewicz** stwierdzał we wspomnieniowym artykule: „Kiedy zacząłem pracować w „Odgłosach" to gatunkiem wiodącym były tu komiksy obrazkowe. Na jednej kolumnie komiks, na drugiej powieść w odcinkach, na innych sieczka dziennikarska, owe, tak ukochane przez Czytelników „michałki". Przez sześć lat, kiedy to współredagowałem „Odgłosy", tygodnik łódzki spoważniał. Ja, ze swej strony robiłem wszystko, aby zmniejszyć nakład czasopisma. A więc prowadząc tak zwany dział kulturalny — najwięcej uwagi i troski poświęcałem poezji. Biłem się o miejsce dla wierszy, drukowałem masowo młodych i nie tylko młodych poetów. Pismo było redagowane w ciągłym napięciu."

Że nie była to idylla świadczy opinia **Zbigniewa Chylińskiego**, który przez blisko trzy lata prowadził w „Odgłosach" „Naszą szkółkę" zyskując sobie przydomek „Belfra". Wyznał on po latach: „Na łamach „Odgłosów" już od samego początku spotkały się dwa środowiska piszące: literaci i dziennikarze. Powiedzmy szczerze — stosunki pomiędzy tymi środowiskami nigdy, i chyba w żadnym mieście Polski nie były idylliczne. Dlatego cenną wydaje mi się próba integracji literatów i pisarzy w »Odgłosach«."

Pomimo tych napięć gazeta rozwijała się, zaczęła być obecna w społeczności miasta. W czwartym roku swego istnienia przekroczyła nawet opłotki ogłaszając zamknięty konkurs na reportaż pn. **„Opisanie Łodzi"** Na starcie stanęli reporterzy z całej Polski, a plonem ich pracy jest książka **„Ucieczka przedmieścia"** stanowiąca sugestywny zapis dziennikarskiej penetracji. Dziś jest to już właściwie przekaz historyczny, bo miasto nie zatrzymało się przecież w rozwoju. Ale właśnie dlatego warto przypomnieć nazwiska tamoczesnych laureatów. Nagroda II — **Jerzy Ambroziewicz**, nagrody III — **Janusz Roszko** i **Stefan Bratkowski**, nagroda IV — **Feliks Bąbol.**

Po raz pierwszy też i jedyny w swojej dotychczasowej historii „Odgłosy" przyznały nagrody współpracownikom. Na liście wyróżnionych znaleźli się m.in. **Bernard Sztajnert, Zygmunt Fijas** oraz **Jan Koprowski.**

Życie nie jest usłane samymi laurami, toteż od czasu do czasu zbieramy cięgi. **Ewa Ostrowska** pisząc reportaż „Dziwna sprawa czyli o prawo

Dalszy ciąg na str. 5

I SEKRETARZ KOMITETU ŁÓDZKIEGO PZPR

Zespół Redakcyjny
Tygodnika Społeczno-Kulturalnego
„Odgłosy"

Z okazji Jubileuszu 20-lecia Tygodnika Społeczno-Kulturalnego „Odgłosy" pragnę przekazać całemu Zespołowi Redakcyjnemu serdeczne gratulacje.

W okresie 20-letniej działalności, „Odgłosy" aktywnie uczestniczyły w przemianach społeczno-gospodarczych naszego województwa; mają liczący się wkład w upowszechnianiu kultury oraz kształtowaniu socjalistycznej świadomości społeczeństwa.

Serdecznie dziękując Wam drodzy towarzysze za dotychczasową działalność, życzę jednocześnia dalszych osiągnięć w redagowaniu pisma, coraz szerszych kręgów czytelników oraz wielu sukcesów w krzewieniu socjalistycznej kultury wśród naszego społeczeństwa.

Życzę Wam także dużo satysfakcji z pracy oraz zadowolenia i pomyślności w życiu osobistym.

BOLESŁAW KOPERSKI

PREZES ZARZĄDU GŁÓWNEGO RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH"

Do
Zespołu Redakcyjnego
„ODGŁOSÓW"
Łódź

Z okazji Jubileuszu 20-lecia „Odgłosów" składam Zespołowi Redakcyjnemu – w imieniu Zarządu RSW „Prasa-Książka-Ruch" i własnym – najserdeczniejsze gratulacje.

W ciągu dwudziestu lat swej działalności, zdobywając należne miejsce w życiu społeczno-kulturalnym miasta Łodzi i regionu, stał się redagowany przez Was tygodnik trybuną miejscowych środowisk twórczych. Dzięki starannemu doborowi tematów i wysokim walorom warsztatu dziennikarskiego, cieszą się „Odgłosy" zasłużoną popularnością wśród grona swych licznych czytelników.

W dniu Jubileuszu życzę Pismu dalszego pomyślnego rozwoju, a Zespołowi Redakcyjnemu wiele satysfakcji z pracy zawodowej oraz wszystkiego co najlepsze w życiu osobistym.

STANISŁAW MOJKOWSKI

ŁODZIANIE 1977

Już po raz dziesiąty odbyła się miła uroczystość, podczas której Czytelnicy i zespół „Odgłosów" spotkali się z laureatami i uczestnikami plebiscytu naszego tygodnika. Po raz dziesiąty poznaliśmy Łodzian bez reszty oddanych sprawie miasta, zasłużonych dla kulturalnego i społecznego życia Łodzi.

Laureatami tegorocznego plebiscytu „ŁODZIANIE 1977" zostali TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, KAZIMIERZ DĘBSKI, TERESA MAY CZYŻOWSKA i BARBARA WÓJCICKA.

Uroczystość wręczenia nagród laureatom, uczestnikom plebiscytu i czytelnikom biorącym w nim udział, odbyła się w pięknej sali kominkowej Muzeum Historii Miasta przy ulicy Ogrodowej.

Rolę gospodarza imprezy pełnił redaktor naczelny „Odgłosów" — Jerzy Wawrzak. W imieniu wyróżnionych laureatów podziękował czytelnikom znany pisarz łódzki, Tadeusz Chróścielewski.

Licznie zebrani goście wysłuchali z zainteresowaniem występów solistów, którzy swoim kunsztem uświetnili tę miłą uroczystość.

LAUREACI PLEBISCYTU „ŁODZIANIE 1977"

Stoją od lewej: Kazimierz Dębski, Barbara Wójcicka, Teresa May-Czyżowska, Tadeusz Chróścielewski.

Foto: W. Parys

O ZADANIACH JUTRA

Delegaci na XX Łódzką Konferencję Sprawozdawczo-Wyborczą otrzymali niewielką broszurę przedstawiającą — w skondensowanej formie — dorobek łódzkiego województwa miejskiego w latach 1975 — 1977. W wielu dziedzinach zasługuje on na pełne uznanie. Oto — dla przykładu — wartość produkcji przemysłowej w ciągu trzech lat wzrosła o 24,6 proc., obroty handlu — o ponad 29 proc., gastronomii — o 27 proc., usług — o ponad 40 proc.

Wydatnie poprawiły się warunki egzystencji materialnej ludzi pracy. Średnie zarobki w gospodarce uspołecznionej wzrosły o 21,5 proc., o podobną wielkość wzrosły też wkłady oszczędnościowe mieszkańców województwa.

Prawie wszędzie zauważamy wyraźny postęp. Nie widać go jednak, niestety, w kulturze. Oto z tej samej publikacji dowiadujemy się, że w okresie sprawozdawczym z każdych 23 miejsc kinowych ubyło nam jedno, że poważnie zmalała ilość widzów w teatrach, że wprawdzie księgozbiór bibliotek publicznych wzrósł o 7 proc., ale same wypożyczenia — tylko o 1.5 proc. (biorąc pod uwagę, że wskaźnik przyrostu ilości mieszkańców województwa wynosi 2,25 proc., ilość wypożyczeń na statystycznego mieszkańca zmalała, a i tak na jednego obywatela przypadało niewiele ponad 4 wypożyczenia książki rocznie).

Statystyka nie jest, jak wiemy, najlepszym kryterium oceny działalności kulturalnej. Niestety może jednak być użyteczna dla zasygnalizowania pewnych zjawisk. W tym właśnie przypadku potwierdza ona ogólne odczucie aktywu kulturalnego: zainteresowanie kulturą w społeczeństwie rośnie zbyt wolno, a w niektórych środowiskach nawet wyraźnie maleje. Tymczasem i w tej dziedzinie aktywności chciałoby się widzieć dynamikę wzrostu przynajmniej zbliżoną do wzrostu dynamiki płac.

Nie dysponuję aktualnymi materiałami z innych województw, można jednak postawić hipotezę, że podobne zjawiska występują także i w innych regionach kraju, być może nawet jest to tam jeszcze bardziej odczuwalne.

Oceniališmy niedawno pracę łódzkich instytucji artystycznych, przyrównując ich osiągnięcia do tego, co dzieje się w innych ośrodkach — i ocena ta dla naszych instytucji wypadła korzystnie. Na przestrzeni sześciu — siedmiu ostatnich lat ranga Łodzi jako ośrodka kultury wyraźnie wzrosła. Nie pomylimy się stwierdzając, że zajmuje on aktualnie trzecie miejsce w kraju, po Warszawie i Krakowie. Udało się skupić w Łodzi wiele interesujących indywidualności twórczych i stworzyć im dogodne warunki do rzetelnej pracy.

Znaczącym wyróżnieniem dla naszego środowiska był udział I Sekretarza KC PZPR, towarzysza Edwarda Gierka w inauguracji roku pracy kulturalno-oświatowej w Łodzi. Traktujemy to jako wyraz uznania dla osiąganych przez nas rezultatów.

Jest zresztą szczególnie godne podkreślenia, że w tym robotniczym mieście potrzeby nauki i kultury traktowane są zarówno przez Komitet Wojewódzki jak i przez Urząd Prezydenta Miasta jako jeden z problemów najważniejszych, a klimat, w jakim odbywa się konstruktywna współpraca władzy i artystów, może stanowić przykład do naśladowania dla innych ośrodków.

Rzecz jasna w pracy łódzkich instytucji kulturalnych i w organizacji życia kulturalnego w mieście wiele można i należy poprawić. Wydaje się jednak, że nie tu kryją się główne przyczyny cytowanego „niżu statystycznego". Problem ma charakter ogólniejszy i wykracza daleko poza sferę resortowego działania placówek kulturalnych.

Otóż w świadomości niektórych grup społecznych następuje jak gdyby naruszenie prawidłowej relacji pomiędzy tym, co moglibyśmy nazwać światem przedmiotów, a tym, co moglibyśmy nazwać światem idei, albo — lepiej — sferą wartości niematerialnych.

I nie chodzi tu o to, że powoli zamieniamy się wszyscy w rachmistrzów, a w naszych dyskusjach dominują wskaźniki i procenty. Staramy się po prostu gospodarzyć lepiej i bardziej efektywnie. Szkoda jednak, że zbyt rzadko dyskutujemy o problemach ideowych, światopoglądowych, moralnych, o stosunkach międzyludzkich, zdarza się — dalekich nie tylko od ideału ale i od elementarnej poprawności. Nie mówimy także, a czas już na to najwyższy, o socjalistycznym modelu konsumpcji. Bo wprawdzie wielu przedmiotów jeszcze nam brakuje ale także i dlatego, aby to co jest, lub będzie wyprodukowane, mogło być dzielone rozsądnie i sprawiedliwie.

Niektórzy teoretycy określają obecny etap naszego rozwoju jako socjalizm okresu wzmożonej konsumpcji indywidualnej. Przyrost produkcji przemysłowej i wzrost zamożności społeczeństwa stwarzają coraz to lepsze warunki dla wyposażenia obywateli w potrzebne im przedmioty, ułatwiające życie, podnoszące standart cywilizacyjny codziennej egzystencji. I to jest ogromny sukces naszej gospodarki.

Jednakże na tle słusznej strategii podnoszenia ogólnego dobrobytu rodzić się zaczynają problemy, jakich dotychczas nie braliśmy pod uwagę w stopniu wystarczającym. Na przykład już dziś widać wyraźnie, że zawsze będzie istniało napięcie pomiędzy rosnącymi potrzebami na przedmioty, a możliwościami tych potrzeb zaspokojenia. Dla przykładu: kto ma pralkę zwykłą, będzie chciał mieć pralkę automatyczną. Kto ma telewizor czarno-biały — będzie chciał mieć kolorowy, nawet jeżeli poprzedni jest jeszcze pełnosprawny. Pojawienie się na rynku nowego, bardziej nowoczesnego przedmiotu zmniejsza atrakcyjność posiadania przedmiotu mniej nowoczesnego i budzi nową potrzebę przerastającą możliwości natychmiastowego jej zaspokojenia.

Produkcji przedmiotów nie można zresztą rozwijać, pod względem ilościowym, w sposób nieograniczony. Podstawową przeszkodą już wkrótce staną się — w skali światowej, — zasoby surowcowe.

W związku z tym pojawia się pierwsze pytanie: w jakim zakresie socjalizm powinien zaspokajać potrzeby rzeczowe obywateli. Nie wydaje się na przykład ani możliwe ani słuszne przenoszenie na nasz grunt tego, co jest cechą charakterystyczną modelu konsumpcji właściwemu klasom panującym w społeczeństwie kapitalistycznym — posiadanie przedmiotów dla celów prestiżowych.

Po drugie pojawia się dylemat: posiadanie jakiej to ilości przedmiotów przez jednostkę można uznać w rozwiniętym społeczeństwie socjalistycznym za społecznie uzasadnione.

Po trzecie wreszcie odpowiedzieć trzeba na pytanie: Jakie w socjalistycznym modelu konsumpcji powinno być miejsce dla wytwórców kultury.

Fetyszyzm wobec przedmiotów występuje u nas nie tylko w grupie osób o wysokich dochodach. W sposób najbardziej dokuczliwy przejawia się on na przykład w turystyce zagranicznej naszych rodaków. Większość z nich wyjeżdża do obcych krajów, by poznać ich krajobrazy, życie współczesne ludzi, ich zwyczaje i obyczaje, historię danego narodu i dorobek jego kultury materialnej. Ale niemało podróżuje przede wszystkim w charakterze handlarzy — domokrążców skupiających swoje zainteresowania głównie na tym, co można korzystnie sprzedać i co za to można kupić.

Otóż wydaje się, że zaczynamy wkraczać w okres, w którym stosunek do modelu konsumpcji stanie się ważnym czynnikiem określającym postawę obywatela wobec społeczeństwa, ponieważ model konsumpcji, stosunek do posiadania przedmiotów, ma rozległe konsekwencje dla centralnego zagadnienia — to jest relacji między jednostką a społeczeństwem. Tu właśnie formuje się odpowiedź na pytanie w jaki sposób jednostka, czy grupa społeczna, zamierza kojarzyć troskę o własne interesy z troską o interesy całej zbiorowości.

Jeżeli — dla przykładu — czytam w jednym z przemówień towarzysza premiera Jaroszewicza w jaki to sposób w ubiegłym roku rozliczano w kraju wykonanie planów przez budownictwo, to przecież wynika z tego faktu, że spore grupy pracowników otrzymały dosyć wysokie premie za pracę, której w istocie nie było, że w konsekwencji znalazły się na rynku pieniądze nie mające pokrycia w masie towarowej, że cała ta operacja odbyła się zatem na koszt innych ludzi pracy. I chyba za te premie najmniej zakupiono biletów do teatru.

Uchwały VII Zjazdu są zbiorem przemyśleń o ważnym znaczeniu dla dorobku światowego ruchu robotniczego. Są nim także w tych partiach, gdzie obszernie i jednoznacznie wypowiadają się właśnie o sferze zagadnień niematerialnych.

Przeczytać tam możemy, że „na wyższym poziomie rozwoju gospodarczego coraz ważniejsze stają się warunki społeczne i kulturalne", albo to, że „zaspokojeniu potrzeb materialnych towarzyszyć powinien rozwój duchowych potrzeb człowieka i nieustanny postęp moralny". Chodzi więc o rozwój harmonijny i równoległy.

Byłoby nieprawdziwe stwierdzenie, że w sferze rozwoju duchowych potrzeb człowieka nie realizujemy uchwał Zjazdu. Osiągniętego postępu w tej dziedzinie nie można jednak uznać za zadowalający.

Paradoks zaś polega na tym, że jeśli w sferze produkcji przedmiotów nadal ustępujemy niektórym wysoko rozwiniętym krajom kapitalistycznym, to — mimo wielu niedomagań w tej dziedzinie — właśnie w zakresie warunków społecznych i kulturalnych te same kraje wyprzedzamy o kilka długości. Część problemów, na przykład, w pracy wychowawczej z młodzieżą bierze się właśnie stąd, że nie zawsze jest ona w stanie należycie docenić nasze w tym zakresie osiągnięcia, a my sami niekiedy zbyt małe nadajemy im znaczenie.

Było, na przykład, podczas II. Krajowej Konferencji Partyjnej wiele ciekawych wypowiedzi na tematy gospodarcze, wielka szkoda, że zabrakło czasu na wystąpienia pisarzy, filozofów, socjologów — pracowników frontu ideologicznego. Ich nieobecność w dyskusji nie sprzyjała podniesieniu społecznej rangi zagadnień, o których mowa. Coraz bardziej brakuje nam w podobnych dyskusjach prób spojrzenia na problemy naszego czasu z szerszej perspektywy. Zbyt często ulegamy naciskom doraźnych konieczności.

Chcę zakończyć tę wypowiedź powołaniem się na książkę socjologa, Andrzeja Sicińskiego „Dziś i jutro kultury polskiej".

Autor dokonuje w niej próby uporządkowania naszej powojennej historii wyróżniając w niej takie oto podstawowe fazy rozwojowe:

— faza polityczna (1944—50), kiedy to dokonały się rewolucyjne zmiany systemu politycznego;

— fazy polityczno-ekonomiczna i ekonomiczna (1950—70), tj. kształtowanie bazy materialnej społeczeństwa socjalistycznego;

— faza ekonomiczno-socjalna (od 1970 r.) — podnoszenie poziomu życia, poprawa warunków bytowania ludzi pracy.

Siciński przewiduje, że około 1990 roku rozpocznie się kolejna faza — faza kulturowa. Problemy osiągnięć na polu kultury i oświaty, problemy moralności społecznej będą wówczas pierwszoplanowe nie tylko w polityce państwa ale i w odczuciu ogółu obywateli.

Autor przypuszcza, że w fazie tej nie będą podejmowane żadne decyzje, które mogłyby kolidować z kryteriami rozwoju kulturalnego.

Prognoza ta wydaje się być oparta na realnych przesłankach. Warto więc już dziś myśleć, o zadaniach, które przyjdzie nam wykonywać jutro.

STANISŁAW KUSZEWSKI

Powyższy artykuł jest publicystyczną wersją przemówienia wygłoszonego przez członka KŁ PZPR rektora PWSTvFiT doc. Stanisława Kuszewskiego na XX Konferencji Wojewódzkiej PZPR w Łodzi.

Z przyczyn technicznych kolejne odcinki „MAŁEJ ZIEMI" i „WĘDRÓWKI ZIMĄ I LATEM" zamieścimy w numerze następnym.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, JERZY PANASEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ.

START DO DZIESIĘCIOLATKI

Rozmowa z Kuratorem Oświaty i Wychowania dr TADEUSZEM PODWYSOCKIM

— Panie Kuratorze, zbliża się czas realizacji zreformowanego systemu oświaty. Czy zechciałby Pan powiedzieć, jak daleko są zaawansowane przygotowania w tym kierunku w województwie łódzkim?

— Na wstępie chciałbym wyrazić zadowolenie, że „Odgłosy", systematycznie włączają się do dyskusji nad przygotowaniem reformy systemu edukacji narodowej. Sprawa reformy bowiem to nie tylko sprawa władz oświatowych, ale całego społeczeństwa, począwszy od jej najmniejszej komórki — rodziny, a skończywszy na takich współtwórcach systemu edukacji narodowej jak prasa, radio i telewizja. Zmieniają się zadania szkoły rośnie udział wiedzy zdobywanej poza nią, rośnie również rola szeroko pojętego środowiska w przygotowaniu dzieci i młodzieży do życia.

Przygotowania łódzkiego szkolnictwa do wdrożenia reformy systemu edukacji narodowej rozpoczęliśmy już w 1972 roku. Kierunki naszego działania sformułowaliśmy w programach doskonalenia oświaty i wychowania na lata 1972—75 oraz 1976—85. Jako najważniejsze z nich przyjęliśmy: wyrównanie poziomu pracy wszystkich typów placówek oświatowo-wychowawczych, przygotowanie odpowiedniej liczby wysoko kwalifikowanej kadry nauczycielskiej oraz rozbudowę i modernizację bazy materialnej szkół.

Konsekwentna realizacja zadań wynikających z przyjętych programów rozwoju oświaty i wychowania w naszym województwie dała wiele znaczących i wymiernych efektów, stwarzając tym samym optymalne warunki zabezpieczające powodzenie we wdrożeniu powszechnej dziesięcioletniej szkoły ogólnokształcącej. Zakończyliśmy już prace nad przygotowaniem sieci przyszłych dziesięciolatek oraz wyznaczenie ich obszarów oświatowych, w skład których wejdą również szkoły filialne z klasami I—VI lub I—III. Według opracowanej koncepcji zreformowanej szkoły średniej, w województwie miejskim łódzkim będziemy mieli 156 dziesięciolatek, 34 szkoły filialne z klasami I—VI oraz 56 szkół z klasami I—III

— A zatem już w tym roku szkoły zaczną pracować według nowego programu.

— Tak. W roku szkolnym 1978/79 do klas pierwszych zreformowanej szkoły średniej zostaną wprowadzone nowe założenia programowo-organizacyjne i od sierpnia br. około 12,5 tys. pierwszoklasistów rozpocznie naukę według nowych programów nauczania. Należy wspomnieć, że już dziś nasi przyszli pierwszoklasiści przygotowują się do podjęcia nauki w szkole. Kontynuujemy również prace w zakresie modernizacji bazy lokalowej i dydaktycznej placówek ze zwróceniem szczególnej uwagi na nauczanie początkowe, jako że w pierwszej kolejności reforma oświatowa będzie wdrożona stopniowo od klasy I—X.

W bieżącym roku kończymy I etap przygotowań do wdrożenia reformy oświatowej i nie będzie w tym przesady, jeśli powiem, że kończymy go pomyślnie. Jesteśmy w zasadzie już dziś gotowi do wprowadzenia założeń programowych i organizacyjnych w pierwszych klasach dziesięcioletniej, powszechnej szkoły średniej.

— Pierwszy etap reformy został już wykonany: powszechną opieką przedszkolną objęto w Łodzi prawie wszystkich sześciolatków. Jak Pan ocenia dotychczasowe wyniki tej działalności?

— Koncepcja programowa nauczania początkowego w zreformowanej szkole dziesięcioletniej wymaga odpowiedniego przygotowania dzieci do podjęcia nauki w klasie pierwszej. Stąd też na rok przed rozpoczęciem realizacji obowiązku szkolnego wszystkie dzieci winny być objęte jedną z form wychowania przedszkolnego. W ciągu rocznego pobytu w placówce wychowania przedszkolnego wyrównuje się poziom rozwoju intelektualnego i społecznego dzieci, eliminuje bądź łagodzi niedobory w rozwoju psychofizycznym, wyposaża się w elementarne umiejętności czytania, wykonywania wybranych operacji matematycznych, przygotowuje do nauki pisania. Wszystkie te tak ważne zadania są zawarte we wprowadzonym powszechnie w bieżącym roku szkolnym nowym programie pracy dydaktyczno-wychowawczej z dziećmi sześcioletnimi. Jak z tego wynika, dziecko rozpoczynające naukę nie powinno odczuwać progu przejścia do szkoły zarówno pod względem psychicznym jak i społecznym. Zostanie ono bowiem wdrożone do współżycia w zespole i podporządkowania się normom obowiązującym w szkole. Nie powinny występować również zbyt rażące różnice w przygotowaniu intelektualnym dzieci.

— A te, które, mimo wszystko, nie osiągną dojrzałości szkolnej?

— Już w przedszkolach, podobnie jak w klasach młodszych szkoły podstawowej, organizuje się dla dzieci, u których występują fragmentaryczne zaburzenia rozwoju cały szereg zajęć kompensujących braki. Są to m.in. zajęcia wyrównawcze, gimnastyka korekcyjna itp. Dzieci z poważniejszymi zaburzeniami rozwoju znajdują stałą opiekę lekarzy i psychologów w poradniach wychowawczych i specjalistycznych.

— Czy wszystkim 6-latkom zapewniono miejsca w przedszkolach?

— Tak. Zdając sobie w pełni sprawę z tego, że powodzenie w nauce pierwszoklasisty zależeć będzie w dużej mierze od odpowiedniego przygotowania go w przedszkolu, podjęliśmy prace mające na celu zabezpieczenie miejsc w placówkach wychowania przedszkolnego dla wszystkich dzieci sześcioletnich. Ze względu na to, że sieć przedszkoli na terenie naszego województwa nie jest jeszcze wystarczająca, uzupełniliśmy ją oddziałami przedszkolnymi, organizowanymi w szkołach podstawowych oraz ogniskami przedszkolnymi funkcjonującymi przy przedszkolach lub szkołach. W bieżącym roku szkolnym uruchomiliśmy 85 oddziałów oraz 113 ognisk. Ta ukształtowana sieć placówek wychowania przedszkolnego zabezpieczyła miejsca dla wszystkich dzieci, które rozpoczynają naukę w klasie pierwszej w sierpniu bieżącego roku.

— Czy kadra nauczycielska jest dostatecznie przygotowana do podjęcia nowych zadań?

— Czynnikiem determinującym powodzenie wdrożenia nowych programów nauczania w zreformowanej szkole średniej jest, obok przedstawionych poczynań, odpowiednie przygotowanie wysoko kwalifikowanej kadry nauczycielskiej. Ze względu na to, że w pierwszej kolejności zmiany programowe obejmą klasy I—III jednym z ważnych problemów stało się przygotowanie nauczycieli nauczania początkowego do realizacji tych programów. Zgodnie z wytycznymi resortu, od kilku lat kierujemy nauczycieli na różnego rodzaju formy dokształcania zawodowego. Stąd wykształcenie wyższe uzyskało już około 23 proc. nauczycieli nauczania początkowego, a dalszych 15 proc. aktualnie je uzupełnia. Corocznie zatrudniamy też dużą grupę młodych nauczycieli, absolwentów wyższych uczelni. Jednocześnie ponad 500 nauczycieli nauczania początkowego objętych jest wprowadzoną w bieżącym roku szkolnym nową formą doskonalenia zawodowego, tzw. samokształceniem kierowanym.

— Kto je organizuje i na czym ono polega?

— Instytut Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych oraz wizytatorzy-metodycy nauczania początkowego. Ma ono na celu przede wszystkim przygotowanie nauczycieli do wdrożenia, od sierpnia br., nowych programów nauczania. Dotyczy to wszystkich przedmiotów, które będą obowiązywały w klasach I—III zreformowanej szkoły średniej z wyjątkiem matematyki. Do nauczania tego przedmiotu, ze względu na wagę problemu, nauczyciele zostali przygotowani wcześniej w ramach 3-letniego Telewizyjnego Studium Nauczania Początkowego Matematyki „NURT". Egzamin z tego studium złożyło już ponad 70 proc. łódzkich nauczycieli nauczania początkowego. Trzeba tu jeszcze dodać, że znaczna grupa łódzkich nauczycieli, to kadra doświadczona, która potrafi dobre tradycje szkolnictwa polskiego przenosić i dostosować do nowych wymagań.

— Szkoły częstokroć odczuwają niedostatek pomocy dydaktycznych, zwłaszcza do nauczania początkowego. Co przedsięwzięto, żeby zapobiec tym trudnościom?

— Uzupełnienie i wzbogacenie bazy dydaktycznej naszych szkół jest jednym z ważniejszych zadań w procesie przygotowania warunków do wdrożenia reformy oświatowej. Tylko w ubiegłym roku wydatkowaliśmy na te cele około 35 milionów złotych. Organizujemy również wzorcowe pracownie, między innymi dla nauczania początkowego. Są one udostępniane wszystkim nauczycielom w celu popularyzowania różnych rozwiązań środków dydaktycznych, urządzania sal lekcyjnych oraz pracowni specjalistycznych. Zamierzamy również w sposób sukcesywny wyposażać szkoły w centra radiowo-telewizyjne, co umożliwi kompleksowe wykorzystywanie środków audiowizualnych. W ciągu najbliższego roku urządzenia takie zainstalujemy w 21 placówkach, które w przyszłości będą przeznaczone na szkoły dziesięcioletnie. We wzbogaceniu bazy dydaktycznej osiągnęliśmy znaczny postęp, szczególnie dotyczy to szkół wiejskich. Nie uznajemy jednak tego procesu za zakończony, przeciwnie, mimo, ogólnie biorąc, dobrej sytuacji uważamy, że mamy jeszcze wiele do zrobienia.

— Niemniej szkoły mają pewne trudności z nabywaniem niektórych pomocy szkolnych, w tym również pomocy do wprowadzania programu nauczania początkowego.

— Rzeczywiście, zdarzają się takie trudności, ale nie pozostajemy wobec nich bierni. Zaleciliśmy wybranym warsztatom szkół zawodowych produkcję pomocy aktualnie niedostępnych lub trudno dostępnych na rynku.

— Bezsprzecznym osiągnięciem jest stworzenie nowego modelu szkoły na wsi — zbiorczej szkoły gminnej. Jaką pomoc otrzymały te szkoły w województwie łódzkim, zapewniającą im równy start do reformy ze szkołami w miastach? Co jeszcze pozostaje do zrobienia?

— Z satysfakcją mogę poinformować, że we wszystkich gminach naszego województwa funkcjonują już zbiorcze szkoły gminne. Znacznie też poprawiła się struktura organizacyjna szkół wiejskich, zmniejszyła się liczba placówek, w których organizuje się nauczanie w klasach łączonych. Ograniczyliśmy znacznie ilość szkół z małą liczbą dzieci i szkół pracujących w trudnych warunkach lokalowych. Wiele takich placówek zamknęliśmy bądź obniżyliśmy ich stopień organizacyjny i dowozimy dzieci do szkół zbiorczych wyżej zorganizowanych, posiadających odpowiednie warunki do wypełnienia swoich funkcji wychowawczo-dydaktycznych i opiekuńczych. Dużą wagę przywiązujemy do zlikwidowania dysproporcji w bazie dydaktycznej tych szkół w stosunku do placówek typu miejskiego.

Systematycznie powiększamy bazę własnych środków transportu o nowe mikrobusy, przyczepy autobusowe itp. Współpracujemy również z PKS korzystając z jej usług w ramach szkolnych kursów zamkniętych oraz kursów liniowych. Dalszą modernizację sieci placówek wiejskich utrudnia nam nie najlepszy stan dróg na niektórych odcinkach.

Pełne zrealizowanie programu zmian organizacyjnych szkolnictwa na wsi wymaga wybudowania bądź zmodernizowania około 75 km dróg. W minionym roku naprawiono jedynie 19 km. Problem ten w obecnej chwili jest jednym z trudniejszych do rozwiązania w naszym województwie.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

Korzystając z okazji rozmowy z Kuratorem Oświaty i Wychowania zwróciliśmy się z prośbą o ustosunkowanie się do dyskusji, jaką wywołał artykuł pt. „Trudny problem dla trudnych dzieci", zamieszczony w „Polityce". Dyskutanci wyrażają niepokój, że nowy program oświaty jest zbyt trudny dla przeciętnie zdolnych uczniów.

Spytaliśmy kuratora T. Podwysockiego o jego zdanie w tej sprawie.

— Nie sądzę, aby można się ustosunkować do tej sprawy w sposób rzeczowy i pełny w ramach krótkiej odpowiedzi. Spodziewam się, że w zainicjowanej przez „Politykę" i toczącej się dyskusji znajdą się jeszcze głosy nie tylko popierające stanowisko autora, ale i polemizujące z nim, a pochodzące ze środowiska autorów nowych programów, psychologów-teoretyków i naukowców z innych dziedzin związanych ze szkolnictwem. Chciałbym na ten problem spojrzeć jednak z innego punktu widzenia. Artykuł ten, jak i cały szereg innych, wywołują rzeczywiście szeroki rezonans społeczny i jest to zjawisko bardzo pożądane. Jak już wspomniałem na wstępie, reforma systemu oświaty, to sprawa nie tylko szkolnictwa, które pełnić będzie rolę instytucji wiodącej, koordynującej poczynania oświatowe, ale całego szeregu innych środowisk, które będą w tej reformie uczestniczyły.

Dyskusja nad reformą systemu edukacji jest sprawą pożądaną nie tylko w fazie przygotowawczej, lecz i w trakcie jej wdrażania, a nawet i później kiedy system ten będzie już w pełni funkcjonował. Z drugiej jednak strony trzeba sobie zdawać sprawę, że każda innowacja spotyka się z różnymi reakcjami. Do typowych należą postawy skrajne — zachowawcze, recepcyjne, bądź pionierskie. Genezą tych pierwszych bywa często lęk przed uczeniem się rzeczy nowych, tendencja do opierania się na dotychczasowych wdrożeniach, w ramach których działa się stosunkowo łatwo i bezbłędnie, wreszcie niepewność co do wielu ubocznych skutków innowacji. Drugi rodzaj postaw charakteryzuje się przejmowaniem takich innowacji, które zostały już gdzie indziej opracowane i dobrze sprawdzone, i wreszcie postawy pionierskie manifestują się samodzielnym poszukiwaniem lub inicjowaniem nowych, twórczych rozwiązań. Wszystkie te opinie nawet te najskrajniejsze, powinny być wysłuchane, zanalizowane i wykorzystywane w procesie wdrażania reformy, szczególnie, jeśli są traktowane, jako sygnał ostrzegawczy, powodujący zastosowanie odpowiednich manewrów strategicznych, przedsięwzięcie środków zapobiegawczych lub zmniejszających sygnalizowane niebezpieczeństwo.

Co się tyczy obaw, iż nowy program jest zbyt trudny dla przeciętnie zdolnych uczniów, jak i przedsięwzięcia środków zaradczych, aby takiego niebezpieczeństwa uniknąć, to zdanie łódzkich nauczycieli — specjalistów nauczania początkowego z którymi konsultowałem ten problem, jest nieco inne, niż prezentowane przez autora artykułu w „Polityce". Wprowadzenie reformy oświaty i — co za tym idzie — zmiana programów nauczania zostało poprzedzone wieloletnimi badaniami i eksperymentami w ośrodkach naukowo-badawczych i szkołach różnych typów i środowisk. Dyskusje toczyły się w gronach specjalistów naukowych, nauczycieli i rodziców, na sympozjach, konferencjach, kursach na łamach prasy, w radio i telewizji. Wyniki badań i eksperymentów, jak również wnioski z dyskusji wzięto pod uwagę przy opracowaniu nowych programów nauczania i podręczników. Rozwój i postęp w nauce, technice, kulturze jest procesem nieodwracalnym. Niesie za sobą konieczność poszerzenia i aktualizowania programów nauczania w szkołach. W ostatnich latach daje się również wyraźnie zauważyć proces akceleracji rozwoju dzieci. W wyniku tego dziecko rozpoczynające naukę szkolną ma większe możliwości percepcyjne. Znane są również wyniki badań psychologicznych wykazujących, iż w procesie nauczania jest wykorzystywany znikomy procent możliwości intelektualnych dziecka.

Od roku 1964 wprowadziliśmy wcześniejsze zapisy uczniów do klas pierwszych, połączone z badaniem stopnia dojrzałości szkolnej. Było to podstawą do zorganizowania w następnych latach zajęć wyrównawczych dla dzieci, u których stwierdzono niedobory w zakresie rozwoju umysłowego, fizycznego, czy społecznego. Dla dzieci, które nie uczęszczały do przedszkoli, zorganizowano sieć ognisk przedszkolnych. Miały one na celu przygotowanie dzieci 6-letnich do podjęcia nauki szkolnej. Ścisła współpraca nauczycieli nauczania początkowego z nauczycielami przedszkoli, pracownikami poradni i rodzicami oraz analiza dokumentacji ucznia wstępującego do szkoły, pozwalają na postawienie diagnozy która jest podstawą zastosowania prawidłowej terapii.

Proces zajęć lekcyjnych uległ modernizacji — nastąpiła zmiana form organizacyjnych i metod nauczania. Dominuje nauczanie wielopoziomowe, polegające na różnicowaniu przez nauczyciela problemów z punktu widzenia indywidualnych możliwości uczniów. Dotyczą one tempa pracy, stopnia trudności w przyswajaniu treści, zakresu materiału. Stosuje się również pracę w grupach, jako jeden z czynników wdrażających umiejętności współdziałania w zespole, indywidualną pracę z uczniem uzdolnionym i uczniem mającym trudności w nauce oraz inne formy organizacyjne, umożliwiające wprowadzenie nauczania zróżnicowanego. Z metod nauczania preferuje się metody zmierzające do wzmożenia aktywności i samodzielności uczniów. Sprzyja temu nauczanie problemowe i programowane metody ćwiczeń i zajęć praktycznych. Ogromne znaczenie w osiąganiu przez ucznia zadowalających wyników ma stosowanie w procesie lekcyjnym różnorodnych środków dydaktycznych. Aktualnie dysponujemy dość bogatym asortymentem tych środków, zwłaszcza do matematyki. Są to pomoce przeznaczone dla uczniów do indywidualnych ćwiczeń. Krótko mówiąc, program nauczania jest uporządkowanym zbiorem haseł wywoławczych, wynikającym z celów nauczania. Zadaniem nauczyciela jest odblokowanie zdolności uczenia się uczniów napotykających na trudności w przyswajaniu wiedzy. Współczesna dydaktyka, eksponująca nauczanie zróżnicowane, stwarza dobrym nauczycielom szerokie możliwości rozwiązania wszystkich problemów związanych z potencjalnym niebezpieczeństwem pojawienia się trudnych sytuacji psychologicznych sytuacji stresowych, nerwic, kompleksów.

Nowy program nauczania matematyki wprowadzono, jako obowiązujący we wszystkich szkołach w roku szkolnym 1975/76. Decyzję tę poprzedzono wieloletnimi eksperymentami w tzw. klasach pilotażowych w wytypowanych szkołach na wsi i w mieście. Następnie wprowadzono nowy program w każdej szkole w jednej z klas i prowadzono badania porównawcze w klasach równoległych, tzw. kontrolnych. Wyniki badań i prowadzonych obserwacji wypadły zdecydowanie na korzyść klas z nowym programem. Upewniły nas one, iż program matematyki, jest przystępny i możliwy do opanowania przez uczniów średnio zdolnych. Jednocześnie daje on szansę rozwoju uczniom wybitnie zdolnym, jak również uczniom mającym trudności w nauce z uwagi na wprowadzenie szeregu nowych pomocy naukowych, zróżnicowanych podręczników, szeroko pojętej indywidualizacji i wyeksponowania metody czynnościowej, jako najwłaściwszej w nauczaniu tego przedmiotu.

Wdrażanie nowego programu nauczania języka polskiego prowadzono w wybranych klasach od roku 1973. Aktualnie we wszystkich szkołach klasy pierwsze realizują program języka polskiego w oparciu o nowe elementarze. Podręczniki i zeszyty ćwiczeń są opracowane pod kątem organizowania indywidualizacji nauczania. Zeszyty ćwiczeń A, B, C, i wycinanka dostosowane są do zróżnicowanych możliwości intelektualnych uczniów. Podręczniki do matematyki i języka polskiego wprowadzone z kilkuletnim wyprzedzeniem są już dobrze znane nauczycielom i uczniom i ich wykorzystanie nie nastręcza trudności. Aktualnie są w druku podręczniki do pozostałych przedmiotów. Do wszystkich podręczników opracowano przewodniki metodyczne dla nauczycieli. Ponadto do dyspozycji nauczycieli pozostaje bogata literatura metodyczna, licznie publikowane artykuły w czasopismach pedagogicznych oraz materiały metodyczne zawierające przykładowe opracowania wybranych haseł programowych.

Wieloletnie doświadczenia i obserwacje pozwalają stwierdzić, że zmodernizowane programy nauczania zmieniły kierunek rozwijania intelektu uczniów. Niemal całkowicie rezygnuje się z nauki pamięciowej na korzyść rozwijania logicznego myślenia dziecka. Wzrosło zainteresowanie uczniów matematyką. Dzieci pasjonują się nowymi pomocami naukowymi i formami ćwiczeń. Wyzbyły się lęku przed trudnym, abstrakcyjnym przedmiotem. Chętnie manipulują klockami, wykonują ćwiczenia praktyczne i doświadczenia, w trakcie których poprzez odkrywanie i przeżywanie wysnuwają sensowne wnioski.

Reasumując należy stwierdzić, iż zmodernizowany program nauczania w klasach I—III zreformowanej szkoły 10-letniej, jest adekwatny do naszych potrzeb i możliwości. Program ten zmierza do wyposażenia ucznia w podstawową wiedzę, umiejętności i postawy społeczno-moralne zgodnie z potrzebami i kierunkiem rozwoju naszego społeczeństwa. Układ programu dla poszczególnych klas i przedmiotów oraz jego treść obliczone są na miarę przeciętnych możliwości uczniów. Odpowiednie metody i środki realizacji, jak również szereg zajęć dodatkowych dają uczniom mającym trudności w nauce szansę wyrównania braków, a uczniom uzdolnionym możliwość rozwijania zainteresowań.

Chciałbym zakończyć te refleksje na temat „Trudny problem dla trudnych dzieci", stwierdzeniem, że mam zaufanie zarówno do polskich naukowców, którzy koncepcje reformy systemu edukacji narodowej przygotowali, jak i licznej rzeszy nauczycieli i innych pracowników oświaty, którzy większą część tej koncepcji będą realizowali.

JERZY JARMOŁOWSKI

BALLADA O PSACH Z ULICY FRANCISZKAŃSKIEJ

nad ulicą Franciszkańską psy wyją
i Vivaldi chadza po rynsztokach
„Il prete rosso" z rudą czupryną
na przechadzkę wyszedł z Baroku

za Vivaldim ciągną psy bezpańskie
za jesiennym koncertem skrzypcowym
bezimienne psy z Franciszkańskiej
schodzą na psie rodaków rozmowy

te psy kundle bez rodowodów
bez medali, obroży, kagańców
te psy — ptaki psiego narodu
to psie nic — psy z Franciszkańskiej

ty Vivaldi lepiej stąd idź
rakarzowi będziesz solą w oku
bez obroży to ty jesteś nikt
ty maestro wracaj do Baroku

lecz jest jesień jak w LA CHASSE u Haydna
a jesieni ile psu Bóg zdarzy
a psia jesień jest brzydka czy ładna
a jak piękna jest jesień rakarzy

nad ulicą Franciszkańską psy wyją
rudy wyżeł leży w rynsztoku
„Il prete rosso" z ryżą czupryną
nieopatrznie wyszedł z Baroku

TADEUSZ GICGIER

* * *

W Sieradzu tatusiowie w wózkach wożą dzieci,
młode jaskółki w gniazdach bawią się w chowanego.
Pod pomnikiem poległych pierwszy zakwitł mieczyk
czerwony jak wojenne w czas ich śmierci niebo.

Jeszcze chwila, a słońce w szybach się roztopi,
kroplami miodu stoczy się po wiekowym murze,
a nazajutrz, gdzie spadnie deszcz słonecznych
kropli —
wyrosną czarne malwy i kremowe róże.

MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

MIASTO

Ucieka grusza rozkwitnięta wołając spadającymi
płatkami w niebo
Konwalie i mrówki zalane betonem
Słowiki też do nieba uciekają
Bloki za nimi szumią windami pełnymi krzyku
i żelaza
Bóg stoi bezradny pośród bulgoczących chmur
W końcu zatrzaskuje bramy i jak dziecko zaszywa
się w kąt
Tu garną się do niego klocki i lalki odebrane
umarłym
A na ziemi tablice bloków dudnią jasnymi
płomieniami telewizorów
Na betonowej trawie w martwych piórach zdycha
skrwawiony skowronek
Który zajrzał do nieba ale nie zdążył uciec do raju
W gałęziach za torami lamentuje obłąkana grusza
Bogu wali się świat ułożony z wody, ziemi, ognia
i powietrza
Lalki wypchane na nasze podobieństwo śmieją mu się
w starą umęczoną twarz.

ANDRZEJ BISKUPSKI

TO

Wstrzymaj się, niech to rośnie, i tak jest większe
od ciebie.
Niech się wypełni tobą, ono nie wie, czym jest.

Nie pytaj, czy to prawda, ono nie wie o tym.
Być może jest narzędziem, podporą i schroniskiem,
domem, pułapką, zapadnią, rodziną i przyjacielem.

Ale kto może wiedzieć. Kto może wiedzieć, czym jest,
kiedy porywa milczących, aby pozyskać mowę.

W krajach maleńkich, jak twój, płakano, gdy
odchodziło
myląc się co do tego, że tylko w wielkich państwach
należy budować dobro.

Niech się wypełni tobą, niech cię zagania do pracy.
Ty przed nim milcz, i zaklinaj, może zapomni, że jest.

LEON GOMOLICKI

SUKNIA MIRANDY

Po dobie takiego letargu obudziłem się i pierwsze co zrobiłem, zniszczyłem wczorajszą martwą naturę, gdyż głód wziął górę nad estetyką. Lecz płatki róży wyczarowanej z aromatu polędwicy tylko wzmogły apetyt, a ponieważ nikt nie śpieszył się z przyrządzeniem dla mnie śniadania, musiałem sam coś w tym kierunku przedsięwziąć.

Drzwi izolatki bezszumnie rozsuwały się, znikając w ścianie. Za nimi niespodziewany ruch snujących po korytarzu, gdzie roiło się od podobnych do mojego szpitalnych pasiaków. Z rzadka pokazywały się postacie w bieli i jako kontrast czarna sutanna, wysmukła, na stojąco posilająca się pasztecikami. Kolejka stała przed podłużnym okienkiem w ścianie. Dołączyłem się do niej i wkrótce dostałem z własnego wyboru talerz rozgotowanych płatków i szklankę mleka. Przypomniało mi to dom i ranny posiłek, od którego zwykle rozpoczynałem mój dzień. Ale mleko było gorące i szklanka parzyła rękę, talerz pełny po brzegi wymagał umiejętności prestidigitatora — musiałem też poszukać gdzieś miejsca siedzącego. Parę kroków dalej korytarz rozszerzał się i tworzył jakby małą rotundę, w której pod palmą w donicy stały stoliki. Skierowałem się tam, szukając wolnego krzesła. Wprosiłem się na czwartego. Trzech milczących panów popijających winem grube omlety. Nawet za obszerne nie na miarę pasiaki nie naruszały ich dostojnej powagi. Widać było z pierwszego spojrzenia ich wysoką rangę społeczną. Jeden z ogoloną głową i brodą apostoła Pawła, drugi bez zarostu, z siwiejącą grzywką à la Tytus i z ciężkim ołowianym spojrzeniem, trzeci z obliczem alchemika skupionego na wykryciu formuły kamienia filozoficznego.

Jakiś czas w milczeniu spożywaliśmy. Alchemik pierwszy dopił swoje wino, odsunął talerz i wytarłszy usta ukryte w zaroście, zagadnął mnie, a już przedtem rzucał w moją stronę spojrzenia: widzieliśmy, jak pana wczoraj wprowadzono, poznajmy się, Prospero jestem, a to moi bliscy przyjaciele — Hermes (ruch w kierunku pasiaka o obliczu apostolskim) i Marek Tulliusz Cyceron. Patrzył tropiąc moją reakcję. Oczywiście byłem zaskoczony. Panowie, powiedziałem, zaszczycacie mnie. O każdym z was już coś słyszałem. Kawałki prozy oratorskiej pana Cycerona kułem w szkole, i w ogóle jesteście sławni na całym świecie, gdy ja, ja jestem tylko niedoskonałym zbiornikiem szczątków wiedzy o takich jak wy wielkościach, nieśmiertelnych wielkościach. I nie ma pan żadnej własnej idei, zapytał Hermes niespodziewanie cichym, szeleszczącym głosem. Nie obronił pan pewnie nikogo siłą słowa, rzucił oschłym tonem Marek Tulliusz, jakby wiedział, że nawet samego siebie nigdy nie potrafiłem obronić. Nie ujarzmił pan żadnego żywiołu, podchwycił Prospero, to jasne ale to nic, to nic, niech pan nie milczy zawstydzony, krępuje pana kompleks skromności, nie w tym rzecz, dość, że pan żyje. Bez takich jak pan czymże byłaby nasza rzekoma wielkość? Pochłonęłaby nas otchłań, bo otchłań pochodzi od chłonąć bez reszty, otchłań zapomnienia. Niech pan nam lepiej opowie co t a m, na dole, w przestrzeni i na ziemi, i w ogóle, bo my przebywamy w tych rajskich zasiekach już od dość dawna.

Właśnie zastanawiam się, odrzekłem, i nie mam pewności jak od dawna tu się znajduję. Zabiegi, które na mnie stosowano, zaktóciły pamięć. A to, co było t a m, jak mówicie, wydaje mi się już tak odległe, a jednocześnie jakby skurczyło się w mały kłębek poplątanych epok. Właśnie zdałem sobie sprawę, że byłem świadkiem kilku epok, a więc musiało to trwać i według kalendarzowej rachuby trwało trzy ćwierci wieku. Widziałem też narodziny epok i ich zanikanie, bo epoka jest podobna do księżyca, który gdzieś jest, ale staje się widoczny wtedy, gdy jawi się w postaci ostrego sierpa, potem pęcznieje, nabiera mocy i okrągłości i zaraz zaczyna topnieć, aż znika, a na jego miejsce zjawia się nowy księżyc. Można bezbłędnie wyczuć początek tego końca, ale same epoki, jak śmiertelnie chory człowiek, nie chcą tego widzieć i dopiero epoka następna bezlitośnie odtwarza historię choroby swojej poprzedniczki.

Nie żyłem tyle, wtrącił Cyceron, ale i ja, zanim skończyłem drogę, widziałem koniec swojej epoki. Przeżyłem niejedną burzę, korzystając z przerw, aby uporządkować dążenia i myśli, zaś główną moją zdobyczą było przekonanie, że głosząc cokolwiek nie należy twierdzić, że jest to prawdziwe.

I proszę, to uwaga Prospera, to mówi ten, kto siłą przekonania oczyszczał ludzi z winy i posyłał na ścięcie.

Gdy rzucam w bruzdę ziarno, odezwał się nagle Hermes w takim biblijnym stylu, gdy robię pierwszy krok udając się w drogę, gdy biorę berło lub miecz, muszę dobrze wiedzieć po co to robię. Ten, kto waha się, podobny jest do wędrowca, który stracił kierunek.

A to, podchwycił Prospero, kredo najbardziej tajemniczego boga, który przyjmuje obraz człowieka, aby kusić swoją hermetyczną zagadkowością. Proszę spojrzeć, reprezentujemy trzy typy umysłu: filozof, pragmatyk i utopista, bo ja z kolei wierzyłem, że wystarczy przekonania, aby zamienić się w prawdę. Z tym, że w życiu ten filozof był pragmatykiem, ten pragmatyk filozofem, a utopista złamał swoją czarodziejską pałeczkę fantazji z braku wiary w siebie.

Quodcumque nostros animas probabilitate percussit id dicimus, skonkludował Marek Tulliusz, inaczej mówiąc: prawdopodobieństwo rodząc się twórczo jak iskra wznieca ogień słowa. I tu zwrotny punkt paradoksu. Tylko przekonywanie może ocalić świat od samozagłady. Mamy ab Urbe condita 2730, a do tego trzeba dorzucić dziesięć lat pod murami Troi. Cały ten czas śledziłem rozwój wypadków. Dawniej o losach wojen rozstrzygał miecz. Sam trzymałem go w ręku i wiem jakiej wymaga od walczącego sprawności i siły. Ale powoli sztuka wojenna zaczęła zamieniać się w fabrykę zniszczenia. Zręczność ludzka zastąpiła dokładność maszyny. Systemy sterowania, śmierć posyłana na odległość, jednym podmuchem niszczone miasta, wyjałowiana na lata ziemia. Podporządkowanie tych potęg gwałtu prowadzi do samozagłady ludzkości, życia w ogóle, planety. Jedyne, co można jeszcze temu szaleństwu przeciwstawić, to siła słowa, siła przekonywania.

Było widać, że Prospero nie zgadza się — jego wykrzywiające się usta, ukośne spojrzenia, niecierpliwe ruchy. Jak tylko Cyceron skończył, dał upust swej dezaprobacie: Słowa, powtarzał, słowa, ale jakie? Raczej słowa rozkazu. Jedyne, co może zażegnać katastrofę, to ujarzmienie żywiołów. Kiedyś w czasie rozkwitu alchemii uran był elementem najodporniejszym. Rządzące nim duchy płatały złośliwe figle, aż w końcu co było do przewidzenia, wymknęły się spod wszelkiej kontroli. Ci współcześni lekkomyślni alchemicy zbyt zawierzyli ich udawanej uległości. Cieszymy się przedwcześnie, gdy niebezpieczne te dżinny przezwyciężają siłę ciążenia i otwierają człowiekowi drogę w kosmos. Zapominamy że od ich kaprysu zależy spopielenie kuli ziemskiej w ciągu jednej chwili. Wszystko to przewidywałem w swoim czasie. Napisałem łaciną traktat, ostrzegając ludzkość, ale nikt nie zwrócił na moje słowa, właśnie słowa, przekonywania żadnej uwagi. Z wyjątkiem jakiegoś dowcipnisia, który wyśmiał moje opowiadanie o tym, jak duch zawarty w pyłku uranu spowodował wybuch, aby zniszczyć całą moją pracownię. Cóż by powiedział teraz zobaczywszy popioły Hiroszimy. Jedynie znalezienie zbawiennej formuły rozkazu i jej należyte wypowiedzenie może ujarzmić piekielne moce, wdrążyć do pożytecznej pracy dla człowieka. Inaczej rozsadzą ziemię i niebo.

Kiedy tak wypowiadali się, czekałem na słowa Hermesa. Ale siedział kryjąc lekki uśmiech w obfitej planie zarostu, prostując brodę wstrzemięźliwym ruchem dłoni. Pochwyciwszy moje spojrzenie, pochylił się w moją stronę. To mówią, powiedział, krasomówca pozbawiony trybuny i mag, który wyrzekł się swojej sztuki. Obaj są w zasadniczym błędzie. Przyczyna leży w samym człowieku. Dopóki ludzie nie przekonają się i nie ujarzmią duchów własnej przekory, i żądzy, nie powiodą się żadne zabiegi oratorskie ani magiczne. Nie wdaję się w beznadziejny dyskurs, chciałbym tylko aby pan zapoznał się z moim traktatem, który ująłem w formę elementarza. Pożyczę go panu na kilka dni, zawsze noszę przy sobie.

Wyjął z bocznej kieszeni pasiaka zwykły zeszyt szkolny na pół złożony i pod stołem wsunął mi w rękę — porozumiewawczy znak wyjątkowego zaufania. Przyjąwszy ten niezwyklejszy ze wszystkiego co kiedykolwiek wręczono mi dokument, w stanie lekkiego oszołomienia z powodu tego niezwykłego spotkania, wstałem aby udać się do swej izolatki. Ale ponieważ i moi nowi znajomi również wstali od stołu, utworzyliśmy małą grupkę i mimo woli został zainicjowany spacer po korytarzu. Ruch ułatwia trawienie, zauważył słusznie Cyceron, zaś Prospero pośpiesznie mu przerwał. Widać było, że jest czymś naładowany. Nie chciałbym, zwrócił się do mnie, żeby pan odszedł w błędzie co do mojej osoby. Tu już padało słowo mag, może i sam go użyłem, użyłem w zapale przyjacielskiej sprzeczki, muszę jednak zaznaczyć, że nie należy brać tego zbyt dosłownie. To mój przyjaciel, autor udramatyzowanych kronik i moralitetów, osławił mnie przypinając tego maga. Sam nawet byłem na takim przedstawieniu, w którym aktor podszywający się pode mnie wychodził na scenę w stroju jarmarcznego iluzjonisty i machał pałeczką udając, że poskramia żywioły. W rzeczywistości było nieco inaczej. Koledzy już znają moją historię, ale wysłuchają raz jeszcze w wersji dla pana specjalnie rozszerzonej.

Szliśmy wiec korytarzem tworząc ścisłą grupkę, a ponieważ towarzysze Prospera zachowywali skupione milczenie, nie przerywając mu ani słowem czy przekorną uwagą, a jakby nawet popierając jego zamiar wprowadzenia mnie w szczegóły jego sprawy, bez przeszkód z ciekawością wysłuchałem opowiadania.

Myśląc o tamtych wypadkach, tak zacząłem, zawsze powracam do nocy, kiedy stałem przy oknie zamkowej wieży. Na dole, w wąskich uliczkach miasta, roiło się od ognikow pochodni. Stamtąd dobiegał nieustający krzyk kobiecy i szum ognia — w niektórych miejscach już się paliło. Nie czekałem, kiedy najemne żołdactwo wedrze się na dziedziniec zamkowy. Miałem jeszcze tyle przytomności żeby wetknąć za pas nabity pistolet. Porwałem w objęcia śpiącą córeczkę, mój jedyny skarb, zbiegłem na dół do samych piwnic i podziemnym przejściem wydostałem się poza mury miasta. Przejścia te znałem od dziecka, bawiłem się w nich i chowałem, gdy zachodziła obawa, że rózga będzie w robocie. Teraz znajomość tych labiryntów mnie ratowała. Noc była ciemna. Szedłem w jej czerń, aby dalej od murów miasta, potykając się na stwardniałych koleinach drogi. Do piersi tuliłem moje dziecko, a ubrany byłem w czym stałem — stary kaftan przetarty na łokciach, przepalony siarką i rtęcią moich uczonych doświadczeń. Jeszcze niespełna godzinę temu władca i badacz tajemnic świata, wyglądałem na dziada spod bramy miejskiej który wyciąga rękę po jałmużnę. Ogień i zgiełk pogromu oddalały się, napięcie minęło i po jakimś czasie siły zaczęły mnie opuszczać. Położyłbym się na ziemi, gdyby nie te wozy, skrzypliwe, dopędzające. Jeden z chłopów pozwolił mi usiąść na huśtającej się, wystającej z tyłu jego powozu desce. Wspominam o tym, bo utrzymując równowagę na podrzucającej mną na wybojach tej desce, wpatrywałem się w gwiazdę świecącą czystym, rozpalonym do białości blaskiem. Wiedziałem, że to Wenus w pełni, ale co rokowała, gdzie wiodła? Czy kiedykolwiek posiadzie człowiek tajemnicę chwili, która ma zaraz nastąpić? Tuż, tuż, tak bliskiej chwili i zawsze umykającej naszej wyobraźni? Tak myślałem przysłuchując się skrzypliwym kołom wozu i kaszlowi popędzanej przez chłopa szkapiny. A gdy zaczęło widnieć z przerażeniem zauważyłem jak spod dziurawej plandeki narzuconej na ładunek powozu wystają zesztywniałe nogi trupów. Chłop zaś uraczył mnie opowieścią o rzezi w mieście i jak to mój rodzony brat własnoręcznie zasztyletował mnie i wyrzucił na pożarcie psom moje zwłoki. W głosie jego posłyszałem tyle niewytłumaczalnej nienawiści i złej radości że przeszyły mnie dreszcze i niepostrzeżenie porzuciłem rozchybotany powóz śmierci. Uchodziłem teraz dalej od drogi, od ludzi, przez orne pola i przez bezdroża, aż znalazłem się nad rzeką.

Muszę się streszczać, lecz nie mogę ominąć szczegółów, jakim to przejmującym chłodem ciągnęło od wody, nad którą warstwiła się gęsta mgła. I jak to w całkowitej rozterce idąc wzdłuż brzegu, natknąłem się na rybacką tratwę kołyszącą się na uwięzi. Pośrodku miała sklecony z gałęzi szałas umoszczony suchym sianem. Ukryłem się w nim i ogrzany własnym ciepłem, ukołysany wodą, tuląc wciąż śpiącą Mirandę, zapadłem w drzemkę. Omijam, co mi się wtedy marzyło, dość że obudziła mnie na dobre świadomość, że tratwa płynie. Nie wiem jak to się stało, ale urwawszy się z uwięzi płynęła, znoszona na środek rzeki, nieuchronnie i szybko zbliżając się ku morzu. Rozumiałem grożące niebezpieczeństwo i brak mi było decyzji, żeby póki czas skoczyć do wody i popłynąć do brzegu lub wołać o pomoc. Ale wartkie prądy tworzyły dokoła wirujące leje i bardziej od żywiołu bałem się ludzi. Gdybym jeszcze był sam! Stygnąc ze zgrozy siedziałem obezwładniony swoją bezradnością. Nie wiedząc, że to zdanie się na łaskę losu było wtedy dla nas jedynym ratunkiem. Miałem to stwierdzić po czasie, na razie nieuniknione stało się: tratwa okręciła się dokoła siebie i została rzucona na grzbiety morskich bałwanów. Ziemia zaczęła szybko się oddalać, powlekać się mgłą, topnieć w blaskach wody i syropie fermentującego ciepłem powietrza. Miranda właśnie się obudziła i z zachwytem śledziła powietrzne harce delfinów. Biedne dziecko nie zdawało sobie sprawy jakie potwory ukrywała czająca się pod nami otchłań. Na nasze szczęście słońce uciszyło ruchy powietrza, morze było spokojne i pod wieczór tratwę przybiło do brzegu małej wyspy.

Tu Prosperowi zabrakło oddechu — był wyraźnie przejęty dramatycznością swego opowiadania. W dalszym ciągu krążyliśmy od załomu do załomu korytarzowego, wzdłuż okien z widokiem na niebo i jakieś dalekie perspektywy mylące zarysy gór z chmurami. Po chwili podjął dalszy ciąg swoich zwierzeń.

Wyspa, na której tak niespodziewanie znaleźliśmy się, była jakby specjalnie stworzona dla podobnych nam rozbitków. Sterczący z powierzchni wodnej kadłub skały, pozostałość po jakiejś tektonicznej katastrofie. W głębi gęstwina kolczastych zarośli i ziejące jadowitymi oparami mokradła nie do przebycia. Człowiek nie miał tu czego szukać, szlaki omijały to miejsce na mapie podziemnych raf i niezbadanych podwodnych matni. Jednocześnie kaprys przyrody wyodrębnił na zboczu wyspy skrawek ziemi z łagodnym zejściem ku morzu, obfitujący w naturalne dary. Kwitły tu i owocowały drzewa figowe i daktyle, cytrusy i ukryte w twardej skorupie mięsiste orzechy. Morze wyrzucało na brzeg małże i inne jadalne żyjątka, z głazów zaś wytryskiwało źródełko krystalicznie czystej wody. Tak jakby Bóg, wypędzając człowieka z raju, uronił na ziemię tę okruszynę Edenu, odprysk szczęśliwości zagubiony w pustyni morskiej. Wydawał się tak bezpieczny, że dałem się zwieść tym pozorom. Po ugaszeniu pragnienia źródlaną wodą i zaspokojeniu głodu, położyłem się na nagrzanym piasku i zasnąłem. Sen mój jednak był czujny. Jakby czymś tknięty, otworzyłem oczy i ze zgrozą zobaczyłem potwora zbliżającego się ku Mirandzie. Był, owłosiony na całym ciele, ale w odróżnieniu od małpy miał długą grzywę i brodę. Karłowaty, lecz mocny w barkach, widząc że wyciągnąłem pistolet, wyszczerzył mocne zęby. Broń nie zrobiła na nim wrażenia — nie znał po prostu jej przeznaczenia, wziął za kawałek drąga i już sięgał po ostry kamień. Wtedy, nie czekając dłużej wypaliłem w powietrze. I to właśnie dało początek mojej rzekomej magii. Przerażony dzikus upadł na twarz i zaczął czołgać się, łapiąc moje nogi, całując mnie po stopach. Tak została zawarta nasza długoletnia znajomość, bo przecież musieliśmy współżyć ze sobą na tej rajskiej wyspie, ochrzczonej przez ludzi diabelską.

(Fragment większej całości)

DWADZIEŚCIA LAT MINĘŁO...

Dalszy ciąg ze str. 1

do amnestii" naraziła się nie na żarty środowisku nauczycielskiemu. Potem dolał oliwy do ognia **Marian Piechal** drukując paszkwil na teatr operowy. Felieton noszący tytuł „Konserwacja trupa" wywołał prawdziwą burzę, a **Marian Piechal** wyjaśnił dosadnie: „Jakiego trupa? Opery. Gdyż opera jako gatunek widowiska scenicznego — to trup."

Zresztą opisu trupów na naszych łamach w owym czasie nie brakowało dzięki ukazującemu się co tydzień „Notatnikowi prokuratora" **Andrzeja Ostoi.** Przez długi czas gościła też w „Odgłosach" **„Magdalena"** pióra **Tadeusza Papiera,** podobnie jak wcześniej **„Romans królewski" Władysława Rymkiewicza** i **„Okolica starszego kolegi" Wiesława Jażdżyńskiego,** nie licząc innych odcinkowych powieści, do druku których nie bardzo wypada nam się dzisiaj przyznawać.

W roku 1963 (jakże to było dawno) **Wiesław Jażdżyński** mógł z dumą ogłosić: „Tak, tak kochani, „Odgłosom" stuknęła już piątka... „Odgłosy" nie miały najlepszych prognoz. Mówiono nawet złośliwie, że w Łodzi, w tym mieście szarym i mało kulturalnym, nie ma takiego problemu, kto pismo założy. Jest tylko problem — kto je rozłoży i to na obie łopatki."

W żywotność „Odgłosów" uwierzono chyba także w mieście skoro 28 lutego pismo otrzymało Odznakę Honorową m. Łodzi, która do dziś zdobi naszą winietę.

W tym czasie zmienia ona zresztą swoją barwę i krój liter.

W POMARAŃCZOWYM KOLORZE

Za tą przemianą kryła się zmiana redakcyjnego zespołu, którym zaczyna kierować **Wacław Biliński.** „Odgłosy" uroczyście ogłaszają amnestię dla „Obrażonych Czytelników", którzy żalą się na nas za to, że: „Odgłosy drukują nowoczesną poezję; za dużo tematyki kulturalnej; brak na naszych łamach konkursów w rodzaju „Najpiękniejsza łodzianka"; „Odgłosy", są nudne i nie prowadzą działu krzyżówek."

Ale mimo ogłoszonej amnestii redakcyjny żywot nie jest taki znów różowy, czy choćby nawet tylko pomarańczowy. Przekonał się o tym najlepiej nasz ówczesny felietonista sportowy **Punch (Lech Budrecki),** który sforsował się po kilkunastu numerach. Co innego **Ćwiek,** który pisząc swoje **„Lewym okiem"** stwierdził w pierwszym felietonie, że muszą być „Ładne horyzonty" i dotrzymał słowa, skoro możemy go czytać także dziś w jubileuszowym numerze „Odgłosów". **Witold Sławski** niczego nie zapowiadał, ale także do dziś pisze swoje cotygodniowe komentarze polityczne.

Inni autorzy nie mieli już tej wytrwałości, chociaż przez długi czas pisze dla nas o teatrze **Wanda Karczewska,** o filmie **Maria Kornatowska,** a **Jan Koprowski** podejmuje stały felieton o tematyce kulturalnej. Ta zmiana nastrojów mogła zrazić pewnych czytelników przyzwyczajonych do czytania nas „w tramwaju, w pociągu, u dentysty", jak głosiło jedno z haseł reklamowych obok jeszcze wcześniejszego: „Odgłosy" nie zbytek, radość, pożytek."

Mimo to staramy się być pożyteczni i spotyka nas za to nagroda. Artykuły opublikowane w specjalnym numerze na Dzień Włókniarza zostają nagrodzone przez Związek Włókniarzy. Wśród laureatów: **Jan Bąbiński, Feliks Bąbol, Wacław Biliński Konrad Frejdlich, Andrzej Makowiecki.**

Autorzy łódzcy walczą o palmę pierwszeństwa z Hitchcockiem, który ogłasza u nas opowieści, których nie pozwolono mu zrealizować w telewizji. Nietrudno zgadnąć, że przegrywa Hitchcock znikając z naszych łamów. O dziwo, czytelnicy nie protestują, przyzwyczajając się z wolna do nowego kształtu „Odgłosów", które zaczynają nosić w podtytule nazwę: tygodnik społeczno-kulturalny. A to przecież zobowiązuje. Więc **Jan Bąbiński** rozpoczyna cykl publikacji „Miejsce dla Łodzi" przedstawiając nasze miasto na tle innych miast wojewódzkich. W dyskusjach przy magnetofonie wypowiadają się pisarze, prawnicy. Zabierają głos rektorzy wyższych uczelni, działacze kulturalni i gospodarczy.

Mimo woli odżywa pytanie: jacy jesteśmy i jacy powinniśmy być — ogólnopolscy czy regionalni? Nie ulega wątpliwości, że prezentujemy przede wszystkim różne oblicza Łodzi łącznie z Łodzią **„Z teki Wacława Kondka",** ale przecież kontekst tych publikacji ma szerszy charakter. Nasze rozterki rozstrzyga Towarzystwo Przyjaciół Łodzi fundując nagrody za publikacje na łamach „Odgłosów". Otrzymują je: **Jan Bąbiński** i **Andrzej Makowiecki** za reportaże o nowej Łodzi oraz **Konrad Frejdlich** i **Jerzy Urbankiewicz** za cykl artykułów o przeszłości miasta.

Próbujemy także sondować opinie czytelników o „Odgłosach". W podsumowaniu stwierdzamy: „Nie robimy tej gazety dla siebie, chcemy Wam nią służyć w miarę swoich sił i możliwości. „Nasz Czytelnik — nasz Pan", można by po gorkowsku powiedzieć, że to brzmi dumnie. Ale rzecz można także odwrócić. Stare przekładło głosi wszak nie bez kozery, że „Jaki pan — taki kram".

Nie poprzestajemy na opiniach czytelników, próbujemy pytać także współpracowników, jak widzą swój „Flirt z „Odgłosami". Znany z temperamentu **Marian Piechal** przyznał tym razem dość łagodnie: „Nie wiem, jak jest obecnie z liczbą czytelników „Odgłosów", ale myślę, że nie różowo, bo ich poziom, pomimo nierówności poszczególnych numerów, jest na ogół coraz lepszy. Zwłaszcza dwa działy: kulturalny i rubryk stałych wydają mi się najżywiej redagowane, zawsze prawie aktualne i na poziomie wyrównanym. Mam tu na myśli szczególnie cotygodniowe szpalty z wierszami, sporadycznie organizowane dyskusje redakcyjne na wybrane tematy, niektóre artykuły dotyczące tradycji kultralnych Łodzi, zbyt niestety rzadką i kapryśną Kolumnę Młodych, doskonałego moim zdaniem Ćwieka z jego „Lewym okiem", także polityczną „Kronikę tygodnia" i społeczno-kulturalną rubrykę „Nożycami przez prasę", a zwłaszcza niezwykle rzetelną zagraniczną rubrykę kulturalną „Kto, co i kiedy?".

Jeszcze życzliwiej usposobiony okazał się **Tadeusz Chróścielewski:** „Współpraca? Układa się bez zarzutu. Jesteśmy najdłużej działającym i najbardziej poczytnym ze wszystkich periodyków literackich czy półliterackich w ciągu długiej historii Łodzi od Władysława Jagiełły i burmistrza Drewnowicza po... dzień dzisiejszy, i za to Wam chwała."

Podbudowani tak sympatycznymi opiniami mogliśmy z całym spokojem przygotować się do jubileuszu dziesięciolecia. Z tej okazji ogłosiliśmy otwarty konkurs na reportaż pod nasłem **„Młodzi Polacy lat 60-tych",** którego laureatami zostali: II nagroda — **Irena Dryll,** III nagroda — **Feliks Bąbol.** Przyznano także wyróżnienia: **Lucjuszowi Włodkowskiemu, Mirosławowi Mieszczankowskiemu** i **Bogumile Madej.** Specjalną nagrodę TPŁ otrzymał **Eugeniusz Iwanicki.** Był to zresztą zaledwie wstęp do niezbyt hucznych uroczystości i porównań kolejnych jubileuszy. Można było przeczytać: „Redaktorzy przychodzą i odchodzą, a „Odgłosy" pozostają. Obecna redakcja pisma zwróciła się do poprzedniego zespołu z prośbą o wypowiedzi... Jak Czytelnicy łacno zauważą, pierwsi „Odgłosów" redaktorzy są z siebie raczej zadowoleni. My także."

Zadowolenie to nie było równoznaczne z euforią skoro **Andrzej Makowiecki,** który objawił się w „Odgłosach" jako szalejący reporter, wyznawał: „Za „jazz" miałem dostać bańki od chłopaków z Klubu Studenckiego „Dworce" wyprowadziły z równowagi Radulskiego ze „Spatifu" i jego popleczników. „Jarmark cudów" został odczytany jako paszkwil na wolne zawody. „Ściana płaczu" miała się zakończyć sądem: najprzód dziennikarskim, potem, ewentualnie powiatowym, niektórzy czynili starania, aby mi zakazać drukowania w „Odgłosach"..."

Innego typu rozterkę ujawnił **Jan Koprowski:** „Zawsze marzyłem o tym, żeby móc w redakcji realizować zasadę, której autorem jest Jean Paul Sartre: „Gazety się nie redaguje, gazetę się tańczy". W Polsce jest to szczególnie trudne, albowiem pokutują u nas mylne i fałszywe wyobrażenia o pisaniu. Lekko znaczy u nas tyle, co powierzchownie, natomiast ciężko to tyle, co głęboko i mądrze. Więc piszemy ciężko, mądrze i głęboko, co niewątpliwie dodaje nam splendoru, ale odstrasza czytelników. Tak w każdym razie było dawniej. A jak jest dziś?"

Warto więc chyba przypomnieć wypowiedź wybitnego, nieżyjącego już poety **Stanisława Czernika,** który luźno współpracując z „Odgłosami" zauważył z okazji jubileuszu: „Dziesięciolecie to ważny moment świadczący o stabilizacji czasopisma. Oczywiście nie ma potrzeby triumfowania z tego powodu, ale periodyk, który nie stał się efemerydą, ma prawo snuć dalsze, ambitniejsze plany, a środowisko może i powinno podtrzymywać go w tych dążeniach.

Jeżeli chodzi o mój pogląd, wolałbym pismo nie średniej — wojewódzkiej, lecz wyższej — ogólnopolskiej rangi. Ale nie od razu Kraków zbudowano: ważne to, że nie zaprzestano budować."

W STRONĘ KULTURY

Wkraczając w dwunasty rok swego istnienia „Odgłosy" poważnie zyskały na objętości. „Zwiększona objętość i lepsza jakość papieru pozwolą nam wzbogacić zarówno treść każdego numeru, jak i uatrakcyjnić szatę graficzną" — złożyła zapewnienie redakcja pod nowym kierownictwem **Jana Koprowskiego.** I aby dokonać koniecznych przemian rozpisała kolejną ankietę. Okazało się po raz kolejny, że tęsknoty redaktorów i czytelników są wspólne, choć troski różne. „Chcecie z „Odgłosów" więcej i rzetelniej dowiadywać się o Polsce i świecie — stwierdzaliśmy w podsumowaniu — domagacie się pełniejszych informacji o Łodzi i łódzkiej ziemi, wymagacie od nas kompetentnych i interesujących materiałów z dziedziny gospodarki i kultury. To wszystko woda na nasz młyn, bo też chcielibyśmy, aby „Odgłosy" stały się wizytówką Łodzi w Polsce, aby sięgnął po nie równie chętnie stuprocentowy łodzianin, co i czytelnik z odległej wioski, aby pełnym głosem mówiły o tym wszystkim, co nieustannie niesie współczesność."

Dotrzymanie tych obietnic było sprawą trudniejszą, ale nie beznadziejną, jak to potwierdziła późniejsza praktyka. Po raz pierwszy ogłosiliśmy więc konkurs-plebiscyt **„Łodzianie roku"** obiecując sobie, że jego materiały złożą się po latach na pamiątkową kronikę miasta, na galerię postaci, które decydowały o twórczym obliczu Łodzi, o jego dniu dzisiejszym i przyszłości. Laureatami tego pierwszego konkursu zostali: muzyk **Henryk Debich,** malarz **Stefan Just** oraz lekarka **Halina Krysińska.** W ciągu dziesięciu lat lista naszych honorowych łodzian uległa znacznemu rozszerzeniu. Znajdziemy na niej pisarzy: **Władysława Rymkiewicza, Leona Gomolickiego, Andrzeja Makowieckiego, Igora Sikiryckiego, Tadeusza Chróścielewskiego;** są na niej muzycy **Henryk Czyż, Tomasz Kiesewetter, Kazimierz Dębski,** reprezentowani są aktorzy: **Teresa Wojtaszek-Kubiak, Jadwiga Andrzejewska, Bogusław Sochnacki.** Tytuły „Łodzianina roku" zyskali sobie naukowcy: **Bronisław Leszczyński, Stefania Skwarczyńska, Zdzisław Haś, Anna Rynkowska.** Jest na tej liście prof. **Olga Olgina,** choreograf **Jadwiga Hryniewiecka.** Spotkamy tam sportowców i trenerów **(Mieczysław Nowicki, Leszek Jezierski),** przedstawicieli świata kultury **(Izabela Nagórska, Roman Kaczmarek, Krystyna Kondratiuk, Maria Ryl, Michał Kuna)** działaczy społecznych **(Janina Szydlecka, Barbara Wójcicka).**

Ale wróćmy do zasadniczego toku naszych przypomnień. Kiedy się przegląda zeszyty „Odgłosów" z końca lat sześćdziesiątych uderza w nich ogromna ilość materiałów poświęconych problematyce kultury. Taki charakter ma cykl wywiadów z przedstawicielami ambasad krajów socjalistycznych **„Kultura polska w świecie".** Ukazuje się seria portretów **„Ludzie 25-lecia"** ukazująca najwybitniejszych przedstawicieli sztuki w pierwszym ćwierćwieczu Polski Ludowej. „Odgłosy" staczają też batalię o powołanie w Łodzi zespołu realizatorów filmowych patronując w ten sposób narodzinom **„Profilu".** Nasz fotoreporter odwiedza **Jarosława Iwaszkiewicza** i **Melchiora Wańkowicza,** a nasz karykaturzysta **Stanisław Ibis-Gratkowski** karykaturuje wybitnych przedstawicieli łódzkiej kultury. **Bernard Sztajnert** „bez strachu" spogląda na przeciwników w cotygodniowym felietonie, a **Jerzy Widok** w swoim felietonie perswaduje czytelnikom, że kultura istnieje nie tylko **„Od niedzieli do niedzieli" Frejdlich i Makowiecki** z notesem reporterskim w ręku odwiedzają wielkie budowy socjalizmu w Polsce. Cykl ich publikacji złoży się potem na książkę **„Miraże i złoto"** zawierającą dwanaście relacji z dziennikarskich podróży. Jeszcze więcej podróży po Ziemi Łódzkiej odbywa **Karol Badziak** z upodobaniem uprawiając reportaż terenowy. Objawia się także jako reporter nasz przyszły kolega redakcyjny **Ryszard Binkowski,** a ponieważ także upodobał sobie reportaż terenowy nietrudno odgadnąć, że dawne województwo łódzkie przeżywa istny nalot piszących. Mimo to nie brak narzekań czytelników, którzy skarżą się, że to za mało, jak choćby ta skarga: „Mieszkam w Łasku i od lat jestem zagorzałym czytelnikiem „Odgłosów". Przyznam, że coraz częściej znajduję materiały publicystyczne, które w jakimś, może niezbyt szerokim, ale przecież poważnym sensie, dają mi satysfakcję i zadowolenie. Jednakże nie samymi pochwałami pismo żyje, dlatego chcę przesłać kilka uwag krytycznych. Otóż chodzi o tak prozaiczną sprawę jak wiadomości o moim rodzinnym mieście."

Prowincjonalne kompleksy ujawniały się nie tylko w Łasku, cierpiała na nie także Łódź, co rozdrażniło **Wiesława Jażdżyńskiego,** który stwierdził: „Prowincjonalizm literacki jest szczególnie skomplikowaną odmianą choroby. Przede wszystkim — chorobą pozorną, chory wmawia sobie sytuację, z której nie ma wyjścia, wierzy, że osiągnął stan beznadziejny, który nieprędko wszakże doprowadzi do śmierci. Łódź Warszawie nie dorówna, Piotrków nie dorówna Łodzi, choć był prawdziwym gubernialnym miastem, Bełchatów nie sprosta Piotrkowowi, Bełchatowowi Szczerców, Szczercowowi Rusiec, choć tam przyszedł na świat Marian Piechal. Nad tym boleje nasz prowincjusz, a że owej drabiny przewrócić się nie da — myśli, że jego stan jest przewlekle beznadziejny."

Jakby w odpowiedzi na te rozważania „Odgłosy" ogłaszają konkurs pn. **„Wielcy Łodzianie",** bo nic tak nie leczy z kompleksów jak poczucie własnej wartości. O inne lekarstwo postarało się samo życie: w 1971 roku po kilku latach istnienia przestaje wychodzić w Łodzi kwartalnik **„Osnowa".** Jeszcze raz potwierdziło się, że periodyki literackie nie mają szczęścia do Łodzi i w ten sposób zostaliśmy osamotnieni w mieście czcząc zarazem jubileusz 700 numeru „Odgłosów". **Jan Koprowski** pisał z tej okazji: „Jesteśmy skromni i dalecy od przeceniania zasług i znaczenia naszego tygodnika. A przecież nikt nie zaprzeczy, że przez te czternaście lat, przez te 700 numerów towarzyszył on temu, co w Łodzi i w Polsce się działo. Jeśli ktoś kiedyś zechce napisać historię łódzkich teatrów tego okresu, łódzkiej plastyki czy łódzkiej literatury, musi również oprzeć się na rocznikach „Odgłosów", w których omawiane i oceniane były premiery naszych teatrów, książki naszych autorów, wystawy naszych plastyków. Zabierali głos w naszym piśmie pisarze i działacze, uczeni i artyści, politycy i robotnicy. Gościli na naszych łamach Iwaszkiewicz i Putrament, Wańkowicz i Sandauer, Kubacki i Natanson."

Foto: W. Parys

Na zdjęciu pracownicy Łódzkich Zakładów Prasowych od lat związani z „Odgłosami". Od lewej; na dole: Witosław Wołyński, Grażyna Ślęczka, Zdzisław Gondorek, w środku: Janusz Lao, Antoni Polakowski, Elżbieta Poksińska, Kazimierz Małkiewicz, Ewa Katryńska, u góry: Zdzisław Iskrzyński, Jolanta Wojtczak, Roman Królikowski.

JESZCZE DALEJ

Wkraczając w piętnasty rok istnienia, „Odgłosy" rozpisują nową ankietę, aby kolejny raz z rzędu poznać upodobania czytelnicze. A oto charakterystyczne odpowiedzi. „Dumny jestem, jako czytelnik, że właśnie „Odgłosy" wychodzą w Łodzi. Uważam „Odgłosy" za najlepsze czytane przeze mnie pismo społeczno-kulturalne". Ale inny czytelnik stwierdza: „Odgłosy", mimo, że istnieją już 15 lat, nie stały się pismem, z którego moglibyśmy być zadowoleni. Pisze się tu często o niczym." A oto lista pretensji w odpowiedzi na pytanie, co jest szczególnie irytujące w naszym piśmie: „Zbyt specjalistycznie pisane artykuły o literaturze i malarstwie, naszpikowane obcymi terminami" „Przede wszystkim poezja" . Bezwstydne fotosy". Byliśmy także atakowani za to, że za mało piszemy o poezji Przybosia i Różewicza. Oto pa-

Dalszy ciąg na str. 6

WIOSENNE ROZGRYWKI

Na błotniste boiska wyszli piłkarze. Wystartowali do walki o tytuł Mistrza Polski lub do walki o swój los w pierwszej lidze. Różny to był start dla różnych drużyn. Jedenastka RTS Widzew startowała z przykład z 14 pozycji w ligowej tabeli. Piłkarze z Widzewa mieli w tym momencie na swoim koncie 4 wygrane mecze, 7 zremisowanych i 8 przegranych. Przed kolejnym meczem z Zagłębiem w Sosnowcu zespół RTS Widzew nadal był na 14 pozycji. Nie jest to dla tej drużyny sytuacja najlepsza. Trudno więc dziwić się działaczom widzewskiego klubu, że stawiają przed piłkarzami naczelne zadanie: pozostać w pierwszej lidze.

Z innej pozycji do wiosennych rozgrywek wystartował ŁKS. 26 lutego 1978 roku zajmował on w ligowej tabeli 4 miejsce, za Legią Warszawa, Lechem Poznań i Wisłą Kraków. ŁKS miał na swoim koncie 7 wygranych meczy, 8 — zremisowanych i 4 przegrane. Nie była to pozycja najgorsza. ŁKS miał tyleż punktów co warszawska Legia (22), a stosunkiem bramek niewiele różnił się od wicelidera tabeli — Lecha Poznań. Poznański Lech — mając 26 punktów — miał 18 bramek strzelonych i 13 straconych, ŁKS — 18 strzelonych i 12 straconych. Krakowska Wisła — również mając 26 punktów — miała 20 bramek strzelonych i 13 straconych.

ŁKS jednak niefortunnie rozpoczął swoje wiosenne występy. Najpierw przegrany mecz w Opolu z tamtejszą Odrą, potem remis w Łodzi z Szombierkami i znów remis w Chorzowie z Ruchem, choć się wszystkim zdawało że ten mecz ŁKS wygra. Tak więc przed spotkaniem z gdyńską Arką drużyna ŁKS znalazła się na 6 pozycji z 24 punktami i różnicą 7 punktów w stosunku do lidera tabeli krakowskiej Wisły, która ma już 31 punktów. Ale i tak sytuacja drużyny ŁKS nie wygląda alarmująco, tyle, że trzeba pożegnać się z ambicjami. Nadzieja na pierwsze lub drugie miejsce w tabeli pierwszej ligi odeszła na dalszy plan.

Ludzie skłonni są bardzo szybko zapominać o tym, co było, jakie zmartwienia mieli jeszcze dwa lata temu. Przypomnijmy może, że sezon piłkarski 1974—1975 zespół ŁKS zakończył na 13 pozycji, że podobnie zakończył sezon 1975—1976. Po jesiennej rundzie tego sezonu zajmował nawet 15 miejsce w tabeli i wszyscy znów zadawali sobie i innym pytanie: spadną, czy nie spadną z pierwszej ligi?

Jesienią 1976 roku drużyna ŁKS uznana została za rewelacje i została liderem tej rundy, zajmując pierwsze miejsce w ligowej tabeli. Wtedy drużynę tę — już po raz drugi w historii ŁKS — wziął w swoje ręce Leszek Jezierski, który w ŁKS był piłkarzem, a który przez 7 lat uprzednich zajmował się szkoleniem piłkarzy RTS Widzew.

Wiosną 1977 roku piłkarzom ŁKS nie wiodło się najlepiej i cały sezon 1976—1977 zakończyli na 7 pozycji. Po raz pierwszy od wielu lat nie było powodu do zmartwień o los piłkarzy Łódzkiego Klubu Sportowego w pierwszej lidze. Dziś o tym — niestety — mało już kto pamięta. Przysłowie mówi, że apetyt rośnie w miarę jedzenia i ma racje. Kibicom się wydawało, że skoro jesienią mogli być liderami, to i cały sezon mogli zakończyć na czele tabeli. Ale żeby tak było potrzeba nie tylko ambicji, potrzeba też rzetelnej pracy całego zespołu. Dobrymi chęciami — jak głosi inne przysłowie — piekło jest wybrukowane.

Na przełomie tego roku w wielu klubach sportowych zmieniono trenerów. Oczywiście kluby mają prawo do takiej operacji, ale też i kibice mają prawo do zachowania trzeźwego spojrzenia na postępowanie klubów. Jaskrawym przykładem tego, że nie zawsze racje mają sportowi działacze może być przypadek Huberta Kostki i zabrzańskiego Górnika. Kiedy ten trener zajmował się tą drużyną mówiono o niej w superlatywach. Później coś się załamało i Górnik zaczął spadać w ligowej tabeli, czyli zaczął grać gorzej. Zmieniono trenera, uznając, że to przede wszystkim jego wina. Hubert Kostka przeszedł więc do bytomskich Szombierek i drużyna ta, choć nie jest w najlepszej sytuacji jakoś sobie radzi. Górnik natomiast spadł na ostatnie miejsce. Można przypuszczać, że nie trener był winny lub nie tylko trener.

Klubom jednak łatwo jest zmienić trenera, bo to jest operacja mniej skomplikowana, tańsza i mniej kłopotliwa niż zmiana zawodnika, niż pozyskanie nowego piłkarza do drużyny. Klubom jest wygodnie zwalać całą winę na trenera, bo to rozgrzesza i działaczy za popełnione winy i rozgrzesza zawodników, którzy chcieliby mieć jak najwięcej a dawać jak najmniej.

W tym wszystkim zapomina się jednak o dorobku trenera. Na jego pozycję i kwalifikacje składały się długie lata pracy. Jego wartość powinna być mierzona wynikami a nie tylko takimi czy innymi opiniami, wygłoszonymi zresztą nie zawsze publicznie. Jego pozycja i dorobek są kwalifikowane przez specjalistów i sankcjonowane odpowiednimi dokumentami. Pochopnie tego wszystkiego nie wolno nikomu przekreślać. Winnemu trzeba zawsze udowadniać winę, a nie tylko domniemywać, że może robić coś nie tak.

Te wszystkie refleksje nasunęły mi się w związku z odsunięciem Leszka Jezierskiego od pracy z pierwszym zespołem ŁKS. Wynik drużyny nie kwalifikowały do takiego kroku. A więc co było powodem?

BOGDA MADEJ

Dalszy ciąg ze str. 5

DWADZIEŚCIA LAT MINĘŁO...

kiet spraw do przemyślenia, które otrzymał **Jerzy Wawrzak**, nowy redaktor naczelny. Zmieniamy szatę graficzną, staramy się łamać pismo bardziej dynamicznie, ale natychmiast spotykają nas ataki. „Co skłoniło Was — pisze do nas rozjuszona Czytelniczka — do zmiany sympatycznego tygodnika w obrzydliwy zbiór nekrologów. Szata graficzna obecnie, to jeden wielki wykrzyknik: „memento mori!" Brrr. Przestaję Was kupować i czytać, żeby nie robić sobie przykrości za własne pieniądze. Poza tym brak mi do czytania w tramwaju nowelki kryminalnej na ostatniej stronie. Żegnajcie." Z kolei inni czytelnicy stanęli w naszej obronie: „Przywykłem do tej nowej szaty Waszego tygodnika. „Odgłosy" stały się jakby żywsze i bogatsze. Jestem za Wami, Panowie!"

I tak, zachęcani przez jednych, łżeni przez innych rozpoczęliśmy kolejne redakcyjne wcielenie. **Jerzy Wawrzak** wystąpił z listem do czytelników, w którym stwierdzał: „Zapytany niedawno zostałem, kiedy wreszcie skończymy z tymi eksperymentami? Odpowiedziałem, że to już ostatnia zmiana przed następną.

Wychodzimy z dwóch elementarnych założeń, chociaż ich świadomość na co dzień nie jest tak znów powszechna. Uważamy, że nasz Czytelnik nie czyta tylko „Odgłosów", jak czytelnik „Polityki" nie poprzestaje na tym (zresztą znakomitym) piśmie. Takiego pisma, które może zaspokoić wszystkie „potrzeby czytelnika" nie ma i być nie może, nawet, gdyby miało objętość dziesięciokrotnie większą niż to się obecnie praktykuje. Po drugie — zdajemy sobie sprawę, że naszym adresatem jest mieszkaniec Łodzi i Ziemi Łódzkiej, że jesteśmy tygodnikiem regionalnym. Zastrzegając się, że regionalizm rozumiemy w najlepszym tego słowa znaczeniu, uważając, iż ważne i dobrze zaprezentowane problemy naszego makroregionu mogą mieć walor ogólnopolski i być również interesujące dla mieszkańców innych miast i województw."

A jak to wyglądało naprawdę? Przede wszystkim rozpoczęliśmy druk serii publikacji **„Szansa młodych"** ukazując perspektywy rozwojowe młodej generacji. Na serio zajęliśmy się także szkolnictwem analizując programy nauczania. Z „Szansą młodych" korespondował cykl publikacji poświęconych motoryzacji. W ślad za nimi zajęliśmy się problematyką mieszkań. I wkrótce z dumą mogliśmy napisać: „Niepostrzeżenie „Odgłosy" stały się nastolatkiem, a więc rówieśnikiem młodszej i kto wie, czy nie najliczniejszej dziś generacji Polaków. Ma to wymowę niemal symboliczną." W jubileuszowym 801 numerze zabrali głos wszyscy członkowie zespołu redakcyjnego, a **Andrzej Grun** i **Andrzej Makowiecki** przygotowali specjalną edycję komiksu pn. „Nokaut-story". Ukazał się także wyjątkowy numer „Odgłosów" z podtytułem **„Raz a dobrze"**, z którego przedrukowujemy tutaj stopkę redakcyjną, która nieźle oddaje nastroje redaktorów: **Jerzy Wawrzak** (redaktor naczelny), **Ryszard Binkowski** (poszedł w Polskę ponad sadem), **Konrad Frejdlich** (bardzo zdolny), **Andrzej Grun** (skądinąd artysta), **Bogda Madej** (aktywistka młodzieżowa), **Andrzej Makowiecki** (żonaty), **Celina Paluch** (Łódź, Jerzego 9), **Włodzimierz Stokowski** (as wywiadu), **Marek Wawrzkiewicz** (ulubieniec dam), **Jerzy Wilmański** (krótkowidz z widokami), **Lucjusz Włodkowski** (alias Luciano Boqouch).

Dalej następowała lista stałych współpracowników: **Karol Badziak** (milicyjnie NOTowany), **Andrzej F. Grabski** (prawdziwy profesor, ale nie wygląda), **Włodzimierz Krzemiński** (prawdziwy dyrektor i wygląda.), **Ewa Nurczyńska** (prawdziwy krytyk — cnoty się nie boi), **Janusz Skoszkiewicz** (śniada na trawie).

Tak było pięć lat temu. Aż pięć lat temu, zważywszy, że, czy się to komuś podoba czy nie, współtworzymy historię kultury tego miasta. Od listopada 1973 r., kiedy to kolejnemu poszerzeniu uległa nasza objętość i format, możemy swoją służbę spełniać jeszcze lepiej. I potwierdzeniem tego są kolejne zszywki „Odgłosów". Bowiem, jak mówił o tym do nas I sekretarz KŁ PZPR **Bolesław Koperski** „zespoły redakcyjne otrzymując większe możliwości działania, przyjęły na siebie wyższe zobowiązania — skuteczniejszego oddziaływania na społeczeństwo, kształtowania twórczych postaw, zwalczania wszystkiego tego, co przeszkadza nam w pracy, w naszym rozwoju. Nasza publicystyka powinna być bardziej wnikliwa, głębsza. Trzeba też bardziej zacieśnić więź z czytelnikami, udostępniać łamy gazet, a także i anteny: radiową i telewizyjną, dla tych, którzy mają coś istotnego do powiedzenia o naszych sprawach, mogą wnieść coś nowego, zgłosić interesujące uwagi i propozycje."

Nie sposób jest, choćby tylko wyliczyć, wszystkich spraw, którymi zajmowaliśmy się na naszych łamach, i którymi jeszcze nie raz będziemy się zajmować, bo problemu nie rozwiązuje się przez jego opisanie, on dopiero wtedy zaczyna być jeszcze bardziej palący. Ale trzeba ten problem wskazać i to właśnie jest jednym z zadań ambitnego dziennikarstwa, mocno osadzonego w pulsie czasu.

„Społecznym i partyjnym obowiązkiem dziennikarza — pisał **Lucjusz Włodkowski** wyrażając odczucia całego zespołu „Odgłosów" — jest dochodzenie prawdy, czasem wbrew ludziom, którym to jest niewygodne, bo narusza ich partykularne interesy. Dziennikarstwo jest zawodem trudnym. Tu też zdarzają się różne „wypadki" przy pracy. Wielu dziennikarzy stawało nawet przed sądem, aby wobec majestatu prawa bronić swoich racji i społecznego interesu. Jest to jednak piękny zawód i osobiście nie zamieniłbym go na żaden inny."

Pozwoliliśmy sobie kiedyś, z okazji 1 kwietnia, przedstawić wizję „Odgłosów" naszych marzeń, w których gościnnie wystąpiły pierwsze pióra Rzeczypospolitej. Była to oczywiście zabawa, ale zabawa także powinna mieć swoje konsekwencje. Na co dzień nie mamy pierwszych piór tego kraju, ale posiadamy ostre pióra i nie jeden raz wykorzystywaliśmy je w dobrej sprawie.

„Kiedyś po latach — pisał w jednym ze swoich felietonów **Widok** — historyk, który będzie badał dzieje prasy łódzkiej naszego trzydziestolecia bez trudu trafi do roczników gazet. Znajdzie tam wszystkie dni i tygodnie zaklęte na kolumnach druku, będzie mógł odczytać z pożółkłych stronic zdarzenia i refleksje, zwierzenia i tendencje..."

Nie tylko historyk. Jesteśmy kronikarzami czasu, to prawda, ale nasze działanie to nie notatka dla historyka. Interesuje nas przede wszystkim żywy czytelnik, któremu chcemy pokazać świat w którym żyjemy. I to nie tylko przez konkursy, jak choćby ten, na opisanie Ziemi Łódzkiej, który przyniósł laury **Janowi Babińskiemu, Tadeuszowi Papierowi** i **Ryszardowi Binkowskiemu** oraz **Ewie Ostrowskiej, Eugeniuszowi Iwanickiemu** i **Andrzejowi Makowieckiemu**. Dziennikarstwo jest nieustannym konkursem, bo dziennikarstwo to wybór. Spośród mnogich zdarzeń rzeczywistości trzeba przecież wybierać te, które rozstrzygają o momencie dziejowym. To pasjonujące zadanie: tropić na co dzień rzeczywistość, poznawać jej kształty, zmieniać tę rzeczywistość. Historycy literatury będą nas może kiedyś chwalić za **„Słownik pisarzy łódzkich"**, w którym przedstawiliśmy galerię autorów żyjących w tym mieście i tworzących dla tego miasta, ale dla nas ważniejsze jest, że ukazaliśmy czytelnikowi fakt kulturowy, jakim jest powstanie w Łodzi ogromnego środowiska twórczego.

No, ale miało być przecież lekko, bo jubileuszowo. Sięgnijmy więc do **„Listu gończego"**, jaki dla zabawy zamieściliśmy w jednym z numerów w roku 1975, żeby scharakteryzować naszych stałych felietonistów. Kim jest na przykład **Ćwiek?** „Ćwiek, charakteryzujący się kompletnym brakiem owłosienia, a dla zmylenia przeciwnika noszący brodę i gęste włosy, jest stałym mieszkańcem Łodzi, który posługuje się w pewnych kręgach imieniem i nazwiskiem Włodzimierz Krzemiński".

A kim **Lektor?** „Lektor alias A.F. Grabski poszukiwany jest za notoryczne refleksje historyczne na łamach tygodnika „Odgłosy". W tych mocno podejrzanych tekstach wyżej wymieniony przemyca różnego rodzaju myśli i stawia pytania, na które bardzo trudno odpowiedzieć".

Popełnijmy kolejną niedyskrecję. „Marcin Rodak, zam. w Łodzi, posługujący się sfałszowaną legitymacją na nazwisko Lucjan Bogusz oraz kartą meldunkową na nazwisko Lucjusz Włodkowski, poszukiwany jest za szereg nadużyć argumentacji."

Z kolei „Widok, zam. w Łodzi, posługujący się w różnych podejrzanych środowiskach (dziennikarze, literaci, plastycy) dowodem osobistym na nazwisko Jerzy Wilmański, poszukiwany jest za bezczelne czepianie się wszystkiego. Wyżej wymieniony ponadto włamał się do szeregu redakcji („Głos Robotniczy", „Karuzela", Polskie Radio), terroryzując personel swoimi tekstami."

Tak, tak, bo gazeta, to nie tylko pakiet problemów, to także ludzie, którzy ją tworzą. Tworzą od ponad tysiąca tygodni. Nie tak dawno opublikowaliśmy tysięczny numer „Odgłosów", a dziś przychodzi nam obchodzić dwudziestolecie istnienia. Najlepiej zresztą przymknąć na nie oczy i wejść w dwudziestolecie następne: mądrzej, prawdziwiej, głębiej. Innej drogi po prostu nie ma, gdy wkroczyło się w wiek dorosły.

KONRAD FREJDLICH

RECEPTA NA ROZRYWKĘ W TV

Rozrywka w telewizji była przez lata całe jej piętą Achillesową. Przekonywać zaś kogokolwiek, że zapotrzebowanie na nią jest wielkie, byłoby prawieniem truizmów. Przed telewizorem zasiada na ogół człowiek spracowany, z głową pełną jeszcze spraw nie załatwionych, a więc zaaferowany, skłopotany, czy wręcz zestresowany. Chce odtajać, znaleźć odtrutkę na wszystkie zalegające w umyśle toksyczne pozostałości dnia roboczego. Najlepszym zaś lekarstwem na te dolegliwości jest jak wiadomo śmiech lub przynajmniej uśmiech.

Ale jaka ma być ta rozrywka, by dobrze spełniała swoje zadanie? Czy zwalniającym od myślenia i reakcji uczuciowych pokarmem dla oczu, kalejdoskopem żywych obrazów, w których obnażone, wymachujące nierówno nogami girlsy, błyskające cekinami i sztuczną biżuterią kostiumy solistów i błahe piosenki stają się komponentami jakiegoś innego świata, ni to baśniowego, ni to zalganego w tandetnym luksusie? Z pewnością i takie programy znajdują swoich miłośników, osobiście jednak uważam, że rozrywka telewizyjna odnosi autentyczne sukcesy nie na tym gruncie. Nad pustką i miałkością telewizyjnych rewietek coraz wyraźniej górują programy o charakterze kabaretowym, które szczęśliwie ostatnio obrodziły.

Wymieńmy i scharakteryzujmy pokrótce niektóre z nich. Wielką popularnością cieszą się krakowskie „Spotkania z balladą", których szczególna siła tkwi w konsekwentnym wciąganiu widowni do wspólnej zabawy. Młoda, inteligentna publiczność zaproszana do telestudia na Krzemionkach znakomicie reaguje na dowcipne teksty i sytuacje aranżowane przez prowadzących i wykonawców programu. Wytwarza się między artystami i widzami atmosfera zrozumienia i zaufania, zaś łącza telewizyjne roznoszą ją po kraju i obdzielają nią po skrawku miliony mieszkań, w których oglądana jest telewizja.

Na podobnej zasadzie funkcjonują programy kabaretowe Andrzeja Strzeleckiego, takie jak „Parada błagierów" czy nagrodzony ostatnio w Olsztynie „Uśmiech słońca".

Szczególne odnotowanie należy się niestrudzonej Oldze Lipińskiej i ustabilizowanej ekipie aktorskiej realizującej program cykliczny „Oto lecі kabarecik". Lipińska świetnie czuje się w konwencji slapstikowej zabawy rodem z filmu niemego, przy okazji zaś bezlitośnie rozprawia się z żałosną chałtura plenioca się na naszych estradach. Ważnym czynnikiem współtworzącym klimat kabaretów Lipińskiej są teksty mistrza Konstantego Ildefonsa, którego kpiarski, absurdalny humor nie stracił po dziś dzień swej satyrycznej ostrości.

Niewątpliwe zasługi w krzewieniu dobrej rozrywki telewizyjnej ma wszechstronny i ruchliwy Andrzej Zaorski, zwłaszcza w programach „Studia Gama", które z powodzeniem współpracuje z wrocławskim „Studiem 202" i z produkującym się w jego ramach kabarecie „Elita". Pastisz sienkiewiczowskich bohaterów „Trylogii" stanowi wciąż jeszcze nie wyeksploatowane źródło humoru.

Jeden z czołowych przedstawicieli „Elity" Jan Kaczmarek obsługuje także poznański program „Allewizja", w którym uczestniczą również członkowie znanego kabaretu „Tej". Pozostały mi w pamięci świetne parodie „Dziennika Telewizyjnego" w tym wykonaniu.

Wreszcie do tych pozytywnych przykładów zaliczyłbym rozrywkowe filmiki „Zezem" Jana Tadeusza Stanisławskiego i Janusza Zaorskiego, grające w absurdalnej formie pseudonaukowego wykładu z ludzkich przywar stanowiących dokuczliwość we wzajemnych stosunkach na co dzień.

Wszystkie wyróżniające się programy rozrywkowe mają jedną cechę wspólną: opierają się na słowie i to słowie kształtowanym dowcipnie, inteligentnie. Wieloletnie doświadczenie telewizji wskazuje na fakt że dominacja obrazu nad słowem nie wystąpuje tu w sposób tak zdecydowany jak w kinie. Wielki ekran angażuje przede wszystkim nasz wzrok, syci go bogactwem szczegółów scenograficznych i ruchem wewnątrz kadru. A w telewizji z zainteresowaniem śledzimy mówiących ludzi, patrzymy i słuchamy, słuchamy i patrzymy.

Rozrywka telewizyjna powinna wyrastać ze specyfiki odbioru programu na małym ekranie. Cóż stąd, że na wielkiej scenie czy estradzie pobudujemy wymyślne dekoracje, że zaprojektujemy bogate kostiumy że wprowadzimy balet i statystów, skoro to wszystko skurczy się do rozmiarów odbiornika telewizyjnego, tracąc wizualny rozmach?

Dlatego niżej sobie cenię programy w rodzaju Dobry wieczór, tu Łódź", czy katowickie „Z wizytą u was". To typowe show estradowe może się podobać publiczności zgromadzonej w sali teatralnej czy w hali widowiskowej, na nasze domowe ekrany docierają jednak już tylko okruchy wystawnego spektaklu.

A swoją drogą, szkoda, że o coraz wyższym poziomie rozrywki TV decydują programy robione w Krakowie, Warszawie, Wrocławiu, Poznaniu, podczas gdy Łódź nie dopracowała się telewizyjnego kabaretu!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

ARS LONGA, VITA BREVIS

„Prawdziwej wartości tego, co zrobił Eisenstein jeszcze nie znamy" — zapisał dwanaście lat temu Grigorij Kozincew we wspomnieniu poświęconym jednemu z najgenialniejszych artystów, jakich wydało nasze stulecie. W 80 rocznicę urodzin i 30 rocznicę śmierci Siergieja Michajłowicza Eisensteina, słowa te nic nie straciły ze swojego przenikliwego, proroczego à rebours sensu. Można je bowiem odczytywać na trzy sposoby.

Wykładnię ideologiczną oceny Kozincewa najlepiej zdają się syntetyzować słowa Andre Malraux: „Geniusz filmów rewolucyjnych Eisensteina jest ilustracją bolszewizmu". Istotnie, w twórczości Eisensteina lat 20-tych sformułowany został w sposób najbardziej — obok poezji Majakowskiego i teatru Meyerholda — dobitny i sugestywny język ideowo-politycznej eschatologii, jaką w sferze świadomości kolektywnej niósł nowy układ społeczny zrodzony przez rewolucję. Wielemir Chlebnikow pytał w tamtych latach: „Czy można tak stanąć pomiędzy źródłem światła i narodem, ażeby cień „ja" nakładał się na granice narodu?" Eisenstein znalazł takie źródło światła i była nim Rewolucja. „Rewolucja dała mi w życiu rzecz najcenniejszą — to ona stworzyła ze mnie artystę (...) I jeśli rewolucja wprowadziła mnie do sztuki, to sztuka w całości wprowadziła mnie w rewolucję" — pisał w 1939 roku. Rewolucyjne filmy Eisensteina stały się detonatorem napięć społecznych. 27 stycznia 1933 roku na holenderskim okręcie „Siedem prowincji" stacjonującym w jednym z indonezyjskich portów wybuchło powstanie marynarzy, którego bezpośrednia przyczyna była projekcja „Pancernika Potiomkina". Przełom lat 60-tych i 70-tych, okres narastającego radykalizmu społecznego, nastrojów lewicowych w Europie i Trzecim Świecie upływa pod znakiem twórczości Eisensteina. W roku 1968 „Cahiers du Cinèma", filmowy periodyk najżywiej reagujący na puls czasu, wydaje numer poświęcony Eisensteinowi i rozpoczyna regularne publikacje jego przekładów. Ta inicjatywa otwiera istną lawinę tekstów Eisensteina i o Eisensteinie, której wzbierający z każdym rokiem potok zabarwia się często akcentami daleko odbiegającymi od intencji artysty. Eisenstein staje się symbolem doświadczenia rewolucyjnego, zostaje umieszczony na sztandarach studenckiej lewicy obok Marcusego, Reicha, Che Guevary i Fromma, jako jeden z głównych patronów zachodniej kontestacji. W Grecji w okresie terroru czarnych pułkowników w podziemiu tłumaczy się i rozpowszechnia w formie ulotek jego polityczno-artystyczne manifesty z lat 20-tych. Brazylijskie „cinema novo" kreuje go na swego świętego. Retrospektywy jego twórczości filmowej towarzyszą radykalnie zorientowanym filmowym festiwalom i mityngom. Wystawy unikatowych rysunków obiegają stolice całego świata, budząc niegasnące zainteresowanie. Słowem — Eisenstein znów żywy, na nowo interpretowany, aktualny, wywołujący spory i kontrowersje stoi w centrum ideologicznych polemik naszych czasów.

Jednakże instrumentalny wymiar tej twórczości, wymiar „trybuna rewolucji", choć dominujący, bo najbardziej oczywisty nie może przysłonić innych stron tej gigantycznej osobowości. Bowiem Eisenstein był przede wszystkim wszechstronnym geniuszem artystycznym i intelektualnym, kto wie czy nie jedynym w tej skali i nie ostatnim w tym stuleciu. Już za jego życia nazywano go „Leonardo da Vinci XX wieku" i tytuł ten — jak się zdaje — sprawiał mu wiele satysfakcji, odpowiadała mu jego — chciałoby się rzec — trafność. Wielki Leonardo był zresztą przedmiotem jego nieskrywanej pasji i fascynacji. W Muzeum im. Eisensteina w Moskwie, które mieści jego zdumiewającą bibliotekę, całą półkę zajmują dzieła Leonarda i monografie jemu poświęcone. Lektura wczesnej młodości, która wywarła na Eisensteinie traumatyczne wrażenie, było studium Freuda „Leonarda da Vinci wspomnienia z dzieciństwa". Eisenstein odczuwał wewnętrzne pokrewieństwo dusz z Leonardem, zastanawiała go tajemnica osobowości wielkiego Florentczyka, pragnął jak gdyby poprzez rozwiązanie wzoru personalnego tamtego geniusza zrozumieć samego siebie. Był bowiem Siergiej Michajłowicz nieomal, jak Leonardo obdarzony niebywałą wszechstronnością zainteresowań i talentów: w jednej osobie reżyser teatralny i filmowy, architekt, rysownik, uczony humanista w renesansowej pełni tego słowa, poliglota biegle władający pięcioma językami. Ten Leonardo XX wieku musiał znaleźć miejsce w sztuce filmowej, która była dla niego syntezą, kulminacyjnym punktem rozwoju i celu dla sztuk dotychczasowych, organicznie sumowała ich doświadczenia estetyczne i wykazywała najgłębszą zgodność z percepcyjną naturą ludzkiego gatunku. Był wreszcie Eisenstein — jak Leonardo, jak prawdziwy geniusz — głęboko samotny. Z tomu wspomnień jemu współczesnych wydanego w 1974 roku w ZSRR wyłania się spomiędzy wierszy pełen szacunku i jakby bojaźni dystans do tej postaci mędrca, filozofa zamkniętego w wieży własnego gabinetu i tworzącego nowe kosmogonie. Zwano go (i do dziś w starszym pokoleniu filmowej Moskwy można to usłyszeć) „Ejzenem", co brzmi, jak magiczny stygmat wielkości. Tę legendę stworzyły lata 30-te, okres wymuszonego milczenia w sztuce, pasmo artystycznej tragedii artysty znaczonej nie ukończonymi arcydziełami „Que viva Mexico!" i „Łąk bieżyńskich", odrzuconymi scenariuszami, atmosferą nieufności i niepewności. W tym czasie Eisenstein, człowiek tytanicznej pracy i uporu poświęca się pracy teoretycznej i pedagogicznej w moskiewskiej uczelni filmowej, WGIK. Na przełomowej dla kinematografii radzieckiej, a dramatycznej dla Eisensteina I Wszechzwiązkowej Naradzie Pracowników Kinematografii w 1935 roku, tak odpierał zarzuty Siergieja Wasiliewa opromienionego wczorajszym sukcesem „Czapajewa": „Kiedy ty mówisz o moim chińskim chałacie z hieroglifami, w którym ja jakoby siedzę w swoim gabinecie, popełniasz omyłkę: na nim nie ma hieroglifów. I ja nie na statuetki spoglądam i abstrakcyjnie kontempluję, kiedy siedzę w gabinecie. Ja pracuję nad problemami, które zostaną podsunięte podrastającej młodzieży filmowej. I jeśli ja siedzę i pracuję w gabinecie, to po to, abyś ty nie tracił czasu w gabinetach, a mógł dalej tworzyć tak wspaniałe filmy, jak twój „Czapajew". Jest to wypowiedź niezwykle znamienna dla myślenia o sztuce Eisensteina, dla jego twórczej metody. Był on bowiem twórcą bezprecedensowym i wyjątkowym w całej historii kinematografii, aż po dzień dzisiejszy. Między jego twórczością filmową a myśleniem teoretycznym istnieje organiczny związek: jego filmy przypominają estetyczne traktaty, a rozprawy teoretyczne i eseje swoim literackim stylem, nieoczekiwanymi skojarzeniami i wyszukaną kompozycją wywodu dostarczają nie tylko intelektualnej satysfakcji. Często zarzucano jego twórczości chłód, intelektualizm, kalkulację, natrętną precyzję formalną i akademizm. On sam zdawał sobie sprawę z tej skrajności, lecz w tym teoretycznym szaleństwie była metoda, którą nazywał „dokręcaniem mechanizmu eksperymentu do końca", po to, aby inni mogli go — jak pisał — „cofnąć o pół obrotu". Filmową twórczością Eisensteina rządzi symetryczne prawo radykalnego eksperymentu i pełnej dojrzałości. Po debiutanckim, rozwichrzonym, ekscentrycznym „Strajku" powstaje „Pancernik Potiomkin", arcydzieło klasycznej treściowo-formalnej harmonii. „Październik" utwór nabrzmiały aż do granic niedorzeczności intelektualną abstrakcją sformułowaną w obrazach dialektycznym skokiem przechodzi w filozoficzną głębię i artystyczną doskonałość „Starego i nowego". „Aleksander Newski", twór zimnej, laboratoryjnej spekulacji warsztatowej poprzedza filmową tragedię „Iwana Groźnego", genialny fresk godzien porównania z dziełami Szekspira.

Doświadczenia artystyczne Eisensteina sięgające granic możliwości wyrazowych sztuki filmowej i wkraczające często w romantyczne obszary idealistycznej utopii stanowią niewyczerpane źródło inspiracji dla współczesnej i przyszłej kinematografii. W tym kontekście słowa Kozincewa brzmią szczególnie aktualnie. Artystyczna spuścizna Eisensteina ciągle jeszcze wydaje się pozostawać ogromnym problemem do przemyślenia przez współczesne kino. Jego doświadczenia z metaforyką filmową, nie zrealizowane koncepcje monologu wewnętrznego na ekranie, zasady montażu pionowego czy idea dramaturgii koloru w filmie — to tylko niektóre idee Eisensteina, które nie znalazły do tej pory godnej kontynuacji we współczesnej sztuce filmowej i ciągle jeszcze czekają na swoje rozwinięcie w przyszłości.

Bardziej wnikliwy komentarz i rozwinięcie znajduje jego spuścizna teoretyczna. Eisenstein widziany z perspektywy rozwoju współczesnej humanistyki jawi się, jako wybitny prekursor jej najistotniejszych koncepcji: cybernetyki, struktualizmu i semiotyki. Jego traktaty inspirowane po części tekstami radzieckich formalistów analizowane dzisiaj zawierają zadziwiające bogactwo niezwykle aktualnie brzmiących sformułowań na temat problematyki języka filmowego, gramatyki generatywnej dzieła artystycznego, psychologii tworzenia i odbioru sztuki.

Ten punkt widzenia na dzieło Eisensteina wyłania trzeci sens diagnozy Kozincewa, tym razem, jak najbardziej dosłowny. Dosłowny, bowiem spuścizna teoretyczna Eisensteina przypomina górę lodową: jej wierzchołek stanowi zaledwie sześć 500-stronicowych tomów rozpraw i artykułów teoretycznych wydanych w ZSRR w latach sześćdziesiątych a część jeszcze pozostałą, która po latach prac archiwizacyjnych filmoznawczej komisji znalazła schronienie w Centralnym Archiwum Literatury i Sztuki w Moskwie, oblicza się na dwadzieścia (!) tomów. Pracownicy tego archiwum twierdzą, że spuścizna Eisensteina jest niewiarygodnym fenomenem pod względem objętości zgromadzonych materiałów, porównywalnym jedynie z archiwum książęcego rodu Wiazemskich, na które przecież złożył się owoc trudu wielu pokoleń.

Eisenstein żył krótko, tylko pięćdziesiąt lat. W swoim życiu poznał smak zawrotnego sukcesu, kiedy w wieku 27 lat czytał o swojej twórczości w całej prasie światowej i gorycz klęski, za którą nie ponosił winy. Oczekiwał swojej śmierci i dawno ją przeczuwał. Zmarł na wrodzoną wadę serca, dziś łatwą do operacyjnego usunięcia. Umarł nagle, w nocy z 10 na 11 lutego 1948 roku. Wstał aby włączyć radio, lecz nie doszedł, upadł na podłogę. I nie dowiedział się, co działo się na świecie tego wieczoru. Odszedł, przeżywając w swoim wybitnym, półwiekowym życiu najbardziej skomplikowaną epokę ludzkiej historii, jej wiarę i pomyłki.

Z NOTATEK EMILA ZEGADŁOWICZA

Bogaty dorobek literacki Emila Zegadłowicza jest niedostatecznie spopularyzowany, a wokół kontrowersyjnej postaci autora „Zmór" narosło wiele nieporozumień, graniczących z legendą i mitem. Bogata spuścizna rękopiśmienna częściowo uległa rozproszeniu po Polsce, częściowo zaginęła w czasie ostatniej wojny. Rozległą twórczość i zawikłaną biografię pisarza spróbował uporządkować Edward Kozikowski w dwóch wspomnieniowych książkach o charakterystycznych tytułach „Między prawdą i plotką" oraz „Portret Zegadłowicza bez ramy". Nieco anegdotyczny charakter tych publikacji ułatwia dostęp do wielu spraw biograficznych i utrudnia zarazem zrozumienie nurtu twórczości E. Zegadłowicza w całokształcie literatury polskiej okresu dwudziestolecia międzywojennego.

Przyjmuje się powszechnie, że najciekawszy okres w twórczości i biografii pisarza to lata 1936—1941. Prawie pięćdziesięcioletni już pisarz, miał za sobą niemałe doświadczenia twórcze i powiązania literackie z ekspresjonistycznym „Zdrojem", własnym „Czartakiem", poprzez robotę dziennikarską i teatralną, aż po skandalizujące „Zmory" i skonfiskowane „Motory". Nie stronił też od polityki. Działał w Małopolskim Związku Młodzieży Wiejskiej, żywił kult dla sanacji i Piłsudskiego, aktywnie uczestniczył w lewicowym Zjeździe Pracowników Kultury we Lwowie, po którym Władysław Broniewski nazwie go „pisarzem rewolucyjnym". W ostatnich latach przed wybuchem wojny i w czas wojenny, Zegadłowicz zmienił tematykę swoich utworów. Dochodzą do głosu silne akcenty polityczne. Powstaje w tym czasie szereg ciekawych utworów dramatycznych: „Domek z kart", „Sind sie Jude?" (zaginiony) czy ostatnio szczęśliwie odnaleziony „Wasz korespondent donosi". W publicystyce manifestuje stanowisko antyfaszystowskie i antywojenne. W biografii poety pojawia się demoniczna muza — Maria Koszyc—Szołajska. Jej wpływ na Zegadłowicza był zapewne duży — choć często kwestionowany i czekający wciąż na wszechstronne wyjaśnienie.

Rozgoryczony, i po trosze zagubiony „samotnik gorzeński", z wrażliwą duszą poety, coraz bardziej przerażony o losy świata, poddaje się skłonnościom do wspomnień, refleksji i wizji. Wiele przemyśleń, uwag, spostrzeżeń, aforyzmów wymienia Zegadłowicz z Marią Koszyc w korespondencji. Wiele notuje na luźnych kartkach i w przygodnych notesach. Niektóre wykorzystał w swoich utworach inne miały prawdopodobnie posłużyć do zamierzonych uogólnień, które nie zostały napisane. Jeszcze inne były tylko notatkami — ot, coś w rodzaju „luźnych kartek", raptularza.

Przypominając postać Emila Zegadłowicza, pragnę zasygnalizować **inicjatywę Wydawnictwa Łódzkiego, które wspólnie z Wydawnictwem Literackim zamierza wydać wybór jego pism. Drukowane poniżej po raz pierwszy miscellanea z ostatniego okresu życia pisarza pochodzą z autografów przechowywanych w zbiorach rękopiśmiennych Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi.**

* * *

Pierwsza głossa pochodzi z notatnika prowadzonego wspólnie z Marią Koszyc. Służył on do zapisywania różnych wspólnych przemyśleń i wydarzeń. Notatnik powstał w Tarnobrzegu, gdzie Zegadłowicz zamierzał ukończyć powieść „Martwe morze". Perypetie z wydaniem tej powieści opisuje Zegadłowicz w drugiej publikowanej notatce. Trudności jakie spotkały tę powieść drukowana w odcinkach pt. „Egzystencje", na łamach lewicowego „Dziennika Popularnego", posłużyły jako motyw do plakatowego dramatu, granego swego czasu w Łodzi pt. „Domek z kart". Trzeci fragment stanowi luźne dyspozycje do listu i jest próba syntetycznego spojrzenia na polską literaturę dwudziestolecia międzywojennego. Dwa ostatnie szkice to dywagacje zabarwione politycznie, próbujące zrozumieć powikłaną sytuację Europy w obliczu groźby wojny.

* * *

„Prawo do historii mają tylko ludzie głoszący pokój, sprawiedliwość i heroizm myśli ludzkiej. — Głoszący wojny, ucisk i nienawiść są intruzami historii, dzieje przyszłe, — dzieje, mówię, człowieka i jego tragicznej świadomości — wyrzuca ich z pamięci tak jak chwast się wyrzuca poza ogrodzenie". (29.VI. 1938 r. Tarnobrzeg).

E.Z.

* * *

W tych dniach ukaże się powieść „Martwe morze". Osobliwa, bardzo współczesną drogę, jaką odbył ten utwór od czasów ukazywania się jego fragmentów w „Dzienniku Popularnym" po kształt książki — zmniejsza w sposób kategoryczny odpowiedzialność autora za treść, wartość a nawet przewodnią myśl autora.

Piszę teraz niewiele, uczę się nowego stylu. Powoli, powoli, przemienia się pisarz w przemytnika. Chody jego stają się ciche i chytre. — Jak to pisała Orzeszkowa w roku [27.V.] 1891-szym do Leopolda Meyeta o cenzurze? „Trzeba zawężać się, ograniczać się. MALEĆ — a potem zarzucać będą pokoleniu naszemu, że było ciasne, małe... Co ja za przepyszne rzeczy miałabym do pisania, gdyby o nich pisać można było!". Tak pisała; dobrze pisała.

Może na sezon jesienny wykończę „białe nieści?" (powieść o narastaniu tematu). Może złożę teatrowi dramat.

Trzeba by się zabrać do tamtych czasów (Mikołaja Srebrempisanego). — Dobrze by to było! Ale...

Coraz trudniej pisać, coraz trudniej żyć. Coraz więcej dokoła [mroku]. Czasy pogardy? — To już tempi passati! — Czasy okrucieństwa! Kto też uratuje honor naszej epoki? — nie rezygnuję — lecz coraz mi smutniej [1939].

Cóż dziwnego, że w pewnym momencie prawie całe piśmiennictwo polskie wydało mi [się] małe i niekształtne — ? — poezja? — „Klasyk" Staff? no oczywiście. Potem największy poeta epoki doganiającej i epoki przejściowej i poeta który pazurami zaczepił się w epokę idąca: Tuwim; niewątpliwie; twórca marsylianki międzynarodowej;... I: Jasnorzewska, medium poezji polskiej, succul Apollina; nie ma wątpliwości; — proza? (podział nieważny w istocie, tak tylko dla orientacji, nie inaczej) — Kaden? — nie trzeba nigdy przesadzać, zawsze pisarzowi może się wydarzyć dzień olśnienia, od którego **zaczyna od początku.** W tej chwili można by nieco paradoksalnie rzec że razem z niesławną śmiercią „bebewur" rozstał się z tym światem skretyniały talent Kadena. De mortuis nil nisi bene. Geloltel — ? — to **jeszcze** niebezpieczny człowiek; jedno pociesza; fascynujący ton jego wzięcia pisarskiego jest niezawodnym prognostykiem definitywnego upadku; dla mnie postać Ferdynarda Starego pozostała w tyle daleko — z wież Alazalu żegna nas ironicznym melonikiem. Boy? — To olbrzymia pozycja! To jest właściwie święty Jan poprzedzający epokę rewolu ji; zwycięstwa komunizmu; podważacz burżuazyjnych zrębów; i to po nim zostanie na zawsze; widmo encyklopedystów wolteriańska postawa; na pewno. — Irzykowskim będą się interesować tylko kluby szachistów, faktem jest, że kilka pociągnięć pionkami to jego wynalazek; on pierwszy. Lecz przecież w liście **do Ciebie** nie jedno robił przeglądu literackiego. Stwierdza syntetycznie: stara ziemia zsypuje się na łeb na szyję, czyni się szczelina, nawet przepaść — pomiędzy wczoraj a jutrem — : decydujące dziś to, to co jest udziałem masy socjalnej: Kruczkowski, Wasilewska, Szemplińska, Broniewski, Czuchnowski, Wolica, Schönfeld i cała idąca falanga nowych tytułów. Tu też olbrzymia przyszłość Uniłowskiego. A gdy już będzie „po wszystkim" i normalnie się zacznie kawiarniane życie — zarezerwowane będzie miał swe miejsce Tadeusz Peiper; a kolor jego kwiatu w butonierce będzie czerwony. Chętnie bym to — w tej kawiarni właśnie — umieścił jako stamgasta J. E. Skiwskiego, lecz co do tego nie ma żadnej pewności, ten człowiek ma nieograniczone możliwości, może będzie na emigracji? a może posłem R. P. w Madrycie lub w Moskwie. Trzeba by się Ossowieckiego przeżyć. Lecz dość tych personalii. Odpowiednie umiejscowienie zrobi historia lepiej ode mnie. Szło mi tu tylko, o bardzo zresztą pobieżne wyświetlenie kilku końców granicznych i dróg do nich wiodących — względnie właśnie brak dróg.

Rozważając wszelkie — dostępne mej świadomości elementy upadku Polski legionowej — upadku, który narastał z roku na rok, z miesiąca na [miesiąc] — nie mogę pominąć zjawiska wcale osobliwego, jedynego w swym rodzaju — w [istocie] swej szlachetnego i może ta [wewnętrzna] złuda szlachetności i godności twórcy człowieka piękniejszego. Mam na myśli mogilę ochraniającą piękne i czułe egzystencje: — iluzoryczności złudy, fantastyczności — jednym słowem pochowanie obecnie nie istniejącej Polski (BO O TYM TU TERAZ MOWA!). Obraz, charakter, znaczność, wydolność tej nie istniejącej Polski — jest tak doskonały i olbrzymi, że po prostu nie mógłby TAKI naród w rzeczywistości istnieć; byłoby zbyt pięknie, zbyt dobre, zbyt.. niemożliwe.

Foto: Archiwum

Ostatni maj wieku minionego. Nie były to wcale stare dobre czasy, nie ma bowiem starych dobrych czasów — istnieje tylko teraźniejszość dla żyjących — a ta jest zawsze młoda i dopiekliwa. A co sobie potomni myślą o przeszłości — to jest bez znaczenia — jest bowiem melancholijna złuda że musi być dobrze tam gdzie nas nie ma. Gdyby to było prawdą to i przyszłość winna nam się przedstawić w świetle jasnym — a jednak nikt tak nie myśli; naiwność ludzka ma swe granice. Tak na dobrą sprawę stwierdzić by należało raczej rozwój wsteczny ludzkości — cóż bowiem rzec o wszystkich wynalazkach i udogodnieniach cywilizacyjnych — gdy wiodą one do masowych mordów? —

Od owego maja przerzysowały się niektóre granice, to prawda; treść jednak tego co obejmują została ta sama; szał zbrojeń, tęsknota grabieży, chytrość, podstęp i rozróżnienia ojczyźniane).

Wszystko zostało po staremu.

Osobiście każdy z nas poniósł absolutną klęskę: przestał być dzieckiem — przestał być [młodzieńcem]; dojrzał i stał się cześcią jakiejkolwiek gromady, gromady zawsze złej, podłej i głupiej. Historia rodzaju ludzkiego jest pasmem zbrodni i świństw. — Cóż z tego, że zdarzają się w dziejach bohaterskie jednostki walczące o wolność — ? — i cóż to bohaterstwo znaczy, cóż znaczy wolność — ? — gdy przecież po zwycięstwie rozpoczyna się natychmiast ucisk, przysłowiowość zbrodni — szalbierstwo wyznaniowe — wszystko razem wielka niewola myśli stokroć gorsza od wszelkiej innej niewoli gorsza lub taka sama; wszystko jedno.

[Tak tedy współśmierć oznacznie miażdży wszystko;?] Któż to winien? nie ma winy w ludziach — wina jest pomiędzy ludźmi; rodzi się [w pośrodku; z kontaktu?]

Przeto też wszelka dobra mądrość idzie po linii znalezienia możliwości współżycia. Lecz ta czeka ostatnia przegrana. Współżycie okazało się ideą nieosiągalną. Pozostało osamotnienie; w najlepszym razie: sojusz samotnych. Sojusz to niebezpieczny dla wszystkich państw. Sojusz zwalczany. Cecha jego jest nieuświadomiona tożsamość prawd.

Nota i opracowanie:
J. K. ANDRZEJEWSKI

ANDRZEJ MAKOWIECKI

PADAJĄ DRZEWA

1.

Trasa W-Z jest oczywiście potrzebna, ale park im. Poniatowskiego przechodzi powoli do świata wspomnień. W ubiegłym roku sławiłem na łamach „Odgłosów" budowniczych trasy — owej największej łódzkiej inwestycji wszechczasów, jednakże nie przypuszczałem, że niszczenie drzew posunie się do tego stopnia.

Park został okrojony ze wszystkich możliwych stron, ścięła go ulica Mickiewicza, ścięła aleja Włókniarzy; Świerczewskiego i Żeromskiego też wdarły się szerokim frontem w tak zwany zielony gąszcz. Gdzie nie spojrzeć, panoszą się jakieś zielone budy, stosy porzuconych materiałów, tu i ówdzie wykopki, tam i sam rowy. Z trasą nie ma to już nic wspólnego.

Idąc od Dworca Kaliskiego widzimy na skraju parku byle jak umocowaną tablicę, której drzewce tkwi krzywo w ziemi. Dowiadujemy się z niej, czego robić w parku nie wolno. Między innymi: Nie wolno ścinać drzew. Nie wolno ich kraść. Nie wolno ich kaleczyć — łamać gałęzi, obdzierać kory, zrywać kwiatów. Nie wolno rozpalać ognisk.

Wszystko to można było ostatnimi czasy na terenie parku zobaczyć. W wielu miejscach płonęły ogniska. W wielu miejscach słychać było zgrzyt elektrycznych pił, uderzenia siekier, trzask łamanych gałęzi. Powtarzam: działo się to poza terenem jakiejkolwiek budowy, poza szlakiem wytyczonych już jezdni ulic i ścieżek, liczne okaleczone pnie świeżo ściętych drzew bielały wewnątrz parku, tam, gdzie nikomu nie mogły wadzić.

2.

Park i tak składa się już z samych prześwitów, na dobrą sprawę — stojąc przy Mickiewicza, widzisz Świerczewskiego, z pagórka przy alei Włókniarzy dojrzałem autobusy i tramwaje przetaczające się ulicą Żeromskiego, ogródek jordanowski znalazł się nagle poza terenem drzew, na odkrytej przestrzeni, pośród ruchu ulicznego; klub tenisowy został obnażony, podobnie zresztą jak obelisk, cmentarz, Technikum Włókiennicze, muszla koncertowa i altana przy stawie. Wszystko to można zobaczyć z dowolnego punktu obserwacji.

Podszedłam do człowieka, który ścinał drzewo.

— Co pan robi?

— To, co pan widzi.

— Ale na czyje zlecenie?

— Nie pana sprawa.

Kilku ludzi, którzy rzucali połamane gałęzie w żar ogniska, bacznie zaczęło mi się przyglądać. Jeden z nich, starszyna, podszedł do mnie i zapytał z wyrzutem:

— Dlaczego pan przeszkadza w robocie?

— Chciałem tylko ustalić...

— Pan tu nie ma czego ustalać.

— ... po co wycinacie te drzewa.

— Jesteśmy w prawie.

— Kto dał wam to prawo?

— Sknacaj pan stąd!

Sto metrów dalej dwie sprzątaczki w kombinezonach udawały, że zamiatają alejkę. Zbliżyłem się do nich, już bez uprzedniej śmiałości i gniewu.

— Niech panie zobaczą, co oni robią z tego parku.

— Muszą tak robić — odpowiedziała wyższa. — Wie pan... Raz, że mają rozkaz, dwa, że to są stare, chore drzewa... Nie zdobią, tylko szpecą.

— A od frontu powinno być ładnie — powiedziała niższa. — Jak ludzie będą przejeżdżać tramwajami i samochodami — wskazała palcem Mickiewicza, gdzie ruch pojazdów przybiera z każdym dniem na sile — to będzie im miło popatrzeć na wyrównany park.

— Ale tu już w ogóle nie ma parku, proszę pani.

— Niech się pan nie boi. Teraz jest łyso, ale przyjdzie wiosna, zieleń i wszystko się zakryje.

— Aha — potwierdziła wyższa — będzie ładnie. Tyle, że faktycznie wyciachali kupę drzew.

— Także zdrowych?

— Ano, wie pan, jak to jest...

— A będą sadzić nowe.

— Nie będą. Ale będzie pięknie, fontannę budują przy Żeromskiego, wie pan, tam! obok Technikum Włókienniczego. Taka fontanna, panie, więcej znaczy niż drzewa.

3.

Poszedłem w stronę tej fontanny, całkowicie zdruzgotany. Po drodze natknąłem się na tablicę, że tym rejonem parku opiekuje się taka szkoła, a tamtym inna. Masa szkół technicznych i ogólnokształcących opiekuje się parkiem, dzięki czemu przedstawia on widok tak niechlujny i opuszczony, jak nigdy dotąd. Zima zimą, roztopy roztopami — jednakże każda parkowa ścieżka i alejka przypomina teren wokół wiejskiego wychodka. Wszędzie walają się połamane gałęzie, potłuczone cegły i płyty, wdeptane w błoto papiery i gazety; także na cmentarzu bohaterów jest, najłagodniej mówiąc, brud i bałagan.

W słoneczne, lutowe dni uczniowie opiekujących się parkiem szkół stawiają się licznie — jedna grupa pod wodzą nauczyciela wychowania fizycznego, druga samopas. Co robią jedni i drudzy? Ano, jedzą na łąkach wałówki, ciskając resztki na trawnik, opalają się słońcem i papierosami, nieraz pociągają z butelek, które wyinkrustowały ziemię wokół krzaków. O tym, żeby ktokolwiek coś sprzątnął, zagrabił — nie może być nawet mowy. Brygada zawodowych sprzątaczy też się specjalnie nie przemęcza; na dobrą sprawę — pojawili się dopiero wówczas, kiedy przyszło rąbać drzewa.

— W zimie nigdy tak bardzo się nie sprząta — pouczył mnie człowiek w oranżowym kombinezonie. — Nie ma warunków i potrzeby. Przyjdzie wiosna, to weźmiemy się do roboty...

4.

Przypomniałem sobie te inne minione zimy, kiedy park był mimo wszystko szczelny, zamknięty przed odorem miasta. Poduchy śniegu miały się jeszcze na czym zatrzymać, pokryte szronem drzewa rosły gęsto i były piękne. Park był miejscem niedzielnych spacerów, a dzieci i psy hasały na polanach, w ogródkach jordanowskich...

Górka przy Żeromskiego, z której zjeżdżało się na sankach, została zniwelowana. Szkoda, ale jako się rzekło, trasa W-Z jest ważniejsza. Nie będę ronił nad nią łez, tak, jak nie będę ich ronił nad drzewami, które poległy dla trasy. Wiadomo, kto musi przebić się codziennie przez miasto wąską, zatłoczoną gardzielą Narutowicza i Andrzeja Struga, zawsze da pierwszeństwo arterii, która rozładuje w znacznym stopniu tłok w śródmieściu. Już dawno dokonaliśmy wyboru: każdy chce mieć samochód, a kto ma samochód, ten chce jeździć wygodnie, co z kolei wymaga ofiar w postaci jakichś tam zniwelowanych górek i ściętych drzew. Jest to prawidłowość naszych czasów i bynajmniej nie tylko w Łodzi i Polsce rozwój motoryzacji i wszelkiej w ogóle komunikacji odbywa się kosztem środowiska naturalnego.

Ale o to, co nam po owych komunikacyjnych zabiegach zostaje, o te resztki wolnej przestrzeni, o te nieliczne już kępy drzew, łąki i porośnięte trawą place powinniśmy troszczyć się podwójnie. I nie w trybie zakazów. Najłatwiej jest wbić tabliczkę: nie wolno niszczyć trawy, kłaść się na niej, grać w piłkę! Właśnie, że wolno! Na całym świecie wolno! Sprawa polega na tym, że jedni się na niej kładą, a inni się o nią troszczą — podlewają, strzygą. Ci drudzy pracują dla tych pierwszych, trawa nie tylko przecież jest po to, żeby sycić wzrok jej wspaniałą, seledynową barwą. W wielkich aglomeracjach prawo do poleżenia sobie raz w tygodniu na trawie powinien mieć każdy obywatel, aczkolwiek nie każdy musi z niego korzystać.

5.

Po zaniedbanym, zdewastowanym, zaśmieconym parku krąży wielu poszukiwaczy skarbów. W ogólnym bałaganie nikt nie zwraca na nich uwagi. Kradną deski, cegły, płyty, ścięte i nie uprzątnięte drzewa, podobnie jak latem zrywają bez i kwiat lipy. Niektórzy pracują ukradkiem, kryjąc pod paltami noże, łopaty i siekiery. Inni wchodzą w układ z nieuczciwymi pracownikami, którzy pojawiają się w niektórych porach jak widma przy widmowych robotach. Nie opodal muszli koncertowej, w alejce biegnącej równolegle z Żeromskiego, dwóch młodych ludzi grzebie łopatami w kopie żółtego piasku. Dokonują tu jakiegoś dzieła, i to z urzędu, ale w pewnym momencie podjeżdża do nich człowiek na rowerze.

Z początku wydaje mi się, że ten, starszy od nich, człowiek, to jakiś majster albo przełożony, wypytuje się bowiem o robotę, patrzy krytycznie na piach, który nie ma w sobie nic krytycznego. Potem, nie tracąc wprawdzie pewności, że mam przed sobą majstra czy przełożonego, rejestruję dość dziwny dialog:

— Kiedy kończycie?

— Dokładnie nie wiadomo — odpowiada chłopak z łopatą. — Dziś robimy to — wskazuje piach.

— A pan kiedy może przyjść porobić u mnie? — pyta ten majster — nie majster drugiego, starszego pracownika.

— No, jak tam panu pasuje...

— To chodź pan teraz.

— Gdzieś za godzinę.

— Dobra. Tylko... weź pan na taczki trochę piachu, cementu, gdyby pan znalazł jakąś kantówkę albo dwie, przydałoby się pod dach.

— To ja mam tu sam robić? — protestuje ten drugi, młodszy pasjonat.

— Porób jeszcze trochę i idź do domu.

W innym miejscu, jakiś cywil podkopuje młodą sosenkę. Widząc, że mu się przyglądam, zaczyna patrzeć z zainteresowaniem w niebo, a później, wciskając za pasek bliżej nie zidentyfikowane narzędzie, wycofuje się rakiem. Składam sobie w duchu gratulacje, że spłoszyłem złodzieja, na długi dzień jednak nie widzę już tego drzewka.

Jeśli bym wystąpił z oskarżeniem, że z parku wynosi się po ciemku nawet ławki, nikt by mi nie uwierzył. A jednak wynosi się — w całości albo w częściach. Odwiedź jakąś dzielnicę willową, poobserwuj sobie działki w Łodzi i poza granicami miasta, podpatrz kilka prywatnych ogródków i podwórek. Skąd się tu wzięły te kolorowe, przemalowane ławki? W jakim sklepie można je kupić?

Jak tak dalej pójdzie, któregoś dnia znikną w cudowny sposób łabędzie. Nie wiadomo wprawdzie, czy nadają się toto do garnka, ale się przyda.

6.

Ogrodzenie wokół nie wykończonej jeszcze fontanny wygląda tak, jak by je niechcący przydepnęła Godzilla. To znaczy: w ogóle nie ma ogrodzenia — kilka parkanowych desek tkwi jeszcze krzywo w ziemi, reszta padła.

Powalony parkan niedługo jednak drażnił twój zmysł estetyczny i wrodzone umiłowanie porządku. Z każdym dniem ubywała jakaś deseczka, część pewnie zabrał inwestor, pozostałymi zainteresowały się osoby postronne.

Nie będziemy rozdzierać szat o kilka bzdurnych, upapranych wapnem desek, sam fakt jednakże pozostawienia fontanny na pastwę przechodniów jest niepokojący. A nuż ktoś wpadnie na pomysł, żeby ją trochę zmniejszyć, rozebrać, przewieźć na działkę? W naszym, jakże zdyscyplinowanym społeczeństwie, takie rzeczy jak fontanny należałoby raczej trzymać za kratkami.

Za kratkami również należałoby trzymać wszystkich, którzy niszczą i wycinają drzewa. Chciałbym uczulić na ten fakt władze miejskie. Najwyższy czas, aby zrobić coś dla ginącego parku, który dla ludzi znaczy nie mniej niż szerokie jezdnie i nowoczesne zakłady przemysłowe.

JAN HUSZCZA

KOGO PAN REPREZENTUJE?

Tylko o jednym z tytułowych pytań, należących do kategorii łagodnych, chcę tutaj opowiedzieć, gdyż wydaje mi się nadal znamienne, niepokojące. Może padać pod adresem licznych z nas i w różnych okolicznościach.

Od lat byłem miłośnikiem, ba, wielbicielem najbogatszego parku łódzkiego, mówiąc wiechem: Poniatoszczaka. Wiele owym alejkom, po których, wspominając, wzdycham jak po zmarłych — zawdzięczam mile i z pożytkiem wewnętrznym spędzonych godzin, wiele wzruszeń drzewom, obserwowanym w różnych porach roku. A dzieciarnia straciła głęboko wklęślą miskę doliny, która w zimowe dni napełniała się ich wesołym świergotem, szurganiem sanek i łyżew. Czy tak stać się musiało, nie wiem, nie zabieram głosu. Od kilku lat przestałem chodzić do parku, odzwyczaiłem się nawet od kawy w kawiarni ośrodka tenisowego. Kiedyś jednak chętnie przyglądałem się tenisistkom i tenisistom, boć to sport wyrabiający pewną elegancję, tenisiści na korcie, jeśli nie należą do kategorii pragnących pozbyć się nadwagi, reprezentują jakiś powab ludzkich kształtów, widzi się ładne sylwetki, o co dziś trudno wśród rozkołebanych i rozchwierutanych przechodniów miejskich ulic, zachowujących się niczym krowy w stadzie, często ubranych modnie, ale bez jakiejkolwiek korzyści dla swego wyglądu, wprost przeciwnie. O co tak trudno wśród dziewczyn, które suną w podkasanych spodniach, jak gdyby wracały z rybaczenia albo z roztrząsania gnoju.

Bywałem tedy i w kawiarni ośrodka. I temu pewnie, zawdzięczam, iż w sierpniu 1962 roku otrzymałem zaproszenie na XXXVI mistrzostwa Polski w tenisie. Od wczesnych lat lubiłem ceglastą w kolorze powierzchnię kortów, przeważnie ocienionych drzewami, widywaną wcale często w miasteczkach Drugiej Rzeczypospolitej.

No więc wyciągam dumnie zaproszenie z kieszeni i podsuwam przed miłe oczy dojrzałej dość dawno dziewczyny, kontrolującej wchodzących widzów, kibiców. Obejrzała i zdecydowanym głosem zapytała:

— A pan jaką organizację reprezentuje?

Stropiłem się, po mgnieniu jednak odpowiedziałem:

— Ja? Siebie!

— Pan żartuje... Ja pytam o organizację...

— Najmocniej panią przepraszam, ale reprezentuję tylko siebie...

Dziewczyna także speszyła się, opuściła rozwarte wrota z siatki, strzegące wejścia. Po chwili przyszła z gospodarzem, człowiekiem o znanym nazwisku sportowym, z Władysławem Skoneckim, nieco skonfudowanym, gdyż trochę się znaliśmy, w dodatku on czuł zapewne to, co i ja.

A więc ta miła dziewczyna już nie wiedziała, że wolno i należy przede wszystkim starać się godnie reprezentować samego siebie, po prostu istotę ludzką, osobę wcale nie urzędową, chyba że się ma jakieś obowiązki reprezentacyjne, ale to całkiem inna sprawa.

Ku memu zdziwieniu zawody nie wywołały zainteresowania. Nieco sensacji wywołało wystąpienie Jadwigi Jędrzejowskiej, wielokrotnej przedwojennej mistrzyni Polski. Gdy to piszę, tenis znowu budzi od jakiegoś czasu zainteresowanie, ale sprawił to Wojciech Fibak, wszędzie zaczynają budować korty, nie wróżę jednak temu pięknemu sportowi powszechności. Myślę, że tenis, uprawiany amatorsko, bo o to mi chodzi, jest sportem elitarnym, przed wojną był bardziej rozpowszechniony, jest bowiem bardzo możliwe, że wiąże się z pewnymi formacjami społecznymi i kulturowymi. Klipa ma większe szanse!

I stało się, jak w powiedzeniu: z deszczu pod rynnę. W drugim dniu zawodów podszedł do mnie red. Zdzisław Królewski — znał mnie widocznie z widzenia — z prośbą o wypowiedź na temat tenisa. Znowu mogłem reprezentować sam siebie, w tym wypadku: literata. Niewiele miałem do powiedzenia, jednak w „Głosie Robotniczym" ukazała się notatka której zakończenie brzmiało:

...Jest to jedna z najszlachetniejszych dziedzin sportu. W szczęśliwszych wypadkach kibice obcują jakby z poezją. Uważam, że w młodości powinno się uprawiać tenis dla sukcesu (choćby tylko towarzyskiego!), a w wieku dojrzalszym czyli od lat... ciu — dla ocalenia swojej lepszej sylwetki...

Nic szczególnego! Ale znowu byłem osobą, choć „ja instytucjonalne", czyli ktoś reprezentujący urząd czy instytucję (można tu wspomnieć o autorytecie zapożyczonym) ma wszędzie przewagę. M.in. pewnie i dlatego tak źle — notuję dane z 1977 r ku — przedstawia się sytuacja w Związku Literatów Polskich. Średni wiek: 55 lat, tylko jeden członek związku liczy mniej niż lat trzydzieści). Członkiem Związku Literatów Polskich wtedy jeszcze Zawodowego zostałem na jesieni 1937 roku, mając niespełna lat dwadzieścia!

Oczywiście, w czasie mistrzostw Polski ocalił moje „ja prywatne" ktoś z pokrewnego środowiska, dziennikarz. Jednak i w środowiskach, dla których to musi być oczywiste, że literat reprezentuje sam siebie, także nie zawsze można spotkać zrozumienie.

W dużym szkicu o łódzkich teatrach pierwszych lat „Z parteru i z loży" (Zdarzenia i zwierzenia, Łódź 1965) tłumaczyłem się:

„I w Teatrze Kameralnym nie na wszystkich bywałem sztukach, mimo iż w owym czasie literaci otrzymywali liczne zaproszenia na premiery. Obecnie, według rozdzielnika otrzymują je przede wszystkim lub wyłącznie funkcjonariusze rozmaitych instytucji, do nich więc będzie należało pisanie dalszych wspominków o łódzkim życiu teatralnym w następnych, po tutaj ewokowanych latach!..

A więc ustępuje „ja indywidualne" — „ja instytucjonalnemu". Na każdym nieomalże kroku. Toteż łatwo zrozumieć moje miłe zdziwienie, kiedy po ponownym objęciu dyrekcji Teatru Nowego przez Kazimierza Dejmka, zacząłem otrzymywać zaproszenia na premiery teatralne.

Niestety, wkrótce to się urwało. Zapewne na rzecz jakiegoś „ja instytucjonalnego". Stwierdzeniu temu nie towarzyszyło nic więcej niż lekka melancholia. Tym bardziej, iż nic nie wraca; na paru premierach, z których wyszedłem zresztą bardzo zadowolony, jeno wspominałem twarze z przeszłości, żywych znajomków prawie nie było. Ponadto ze względu na zdrowie powoli przestaje w ogóle być bywalcem. „Prawdziwy cios" spotkał mnie dopiero w miłym i na ogół przyjaznym dla mnie Wydawnictwie Łódzkim... Żeby zwykły czytelnik mógł to zrozumieć, niech weźmie do ręki pierwszą lepszą książkę i zajrzy do metryczki, podającej szczegóły, towarzyszące jej ukazaniu się. Znajdzie w niej liczbę nakładu plus 250, 290, 300 egzemplarzy. Te egzemplarze są rozsyłane bezpłatnie znaczniejszym książnicom, niektórym pismom, czasem imiennie krytykom literackim, a przede wszystkim różnym „ja instytucjonalnym". Istnieje wielki rozdzielnik.

Przyzwyczaiłem się, by od czasu do czasu wstępować do magazynu oficyny łódzkiej, jako jej autor i niekiedy o jej książkach piszący literat, by to i owo z nowości bezpłatnie otrzymać. Byłem skromny, przeważnie, unikałem wydawnictw droższych, np. albumowych, co mogłaby potwierdzić sympatyczna magazynierka. Pod koniec 1977 roku dano mi do zrozumienia, że pęcznieje rozdzielnik oficjalny, rozrasta się, jak plama naftowa na morzu, coraz trudniej będzie z bezpłatnymi egzemplarzami dla takich jak ja, nie otrzymałem nawet antologii, zawierającej kilka moich przekładów.

Cóż, nie ma rady! Teraz jedynie boję się o to, by nie zredukowano liczby egzemplarzy autorskich. Po wojnie autor otrzymywał 50 egz. swojej książki, potem 25 obecnie zaś tylko 20. Ze względu na dynamiczny rozrost oficjalnego rozdzielnika może się np. zdarzyć, że pewnego dnia zmniejszą ilość egzemplarzy autorskich do pięciu, potem kiedy indziej — do jednego. I słusznie — „ja instytucjonalne" wygrywa wszędzie z „ja prywatnym", które wycofuje się i wycofuje. I nie wiadomo, gdzie są i czy są te ostatnie „upatrzone pozycje".

Opowiedziałem tę sprawę w sposób felietonowy, ale myślę, że jest ona w gruncie rzeczy sprawą bardzo poważną. I da się przenieść do różnych innych regionów spraw ludzkich, określić innymi, bardziej ważkimi słowami. (Nie poruszam tu sprawy byłych „ja instytucjonalnych", które jest zagadnieniem samym w sobie, niezmiernie charakterystycznym i ciekawym!).

Foto: Archiwum

STATKI Z KRZYŻEM MALTAŃSKIM

Dla wczasowiczów i turystów odwiedzających tłumnie Gdynię wszystkie spacery nieodmiennie kończą się w Alei Zjednoczenia. Z daleka widoczny jest nowoczesny kształt imponującego dworca „białej żeglugi". Obok wojenny okręt — muzeum, czasami „Dar Pomorza". Po drugiej stronie zaprasza muzeum Morskiego Instytutu Rybackiego. I już mało kto decyduje się zajrzeć do basenu jachtowego. Nic więc dziwnego, że uwadze zwiedzających umykają przy tej okazji najdzielniejsze z dzielnych — niewielkie kutry ratownicze ze znakiem Krzyża Maltańskiego. Bezruch i cisza panujące na pokładzie zacumowanego przy nabrzeżu „ratownika" zniechęcają nielicznych ciekawskich...

* * *

Armatorem wszystkich polskich jednostek ratowniczych jest Polskie Ratownictwo Okrętowe. W Dyrekcji przedsiębiorstwa powiedziano mi od razu: my tylko pośrednio uczestniczymy w akcjach naszych ratowników. Właściwie pełnimy funkcję koordynatora wszelkich poczynań, mamy zawsze najpełniejsze informacje — mówi Maciej Krynicki, kierownik działu ratownictwa. Dyżurny inspektor operacyjny jest organizatorem każdej akcji, to właśnie on ustala kierunki działania.

Kim więc są inspektorzy, którzy siedząc z dala od miejsca akcji udzielają rad i wskazówek? Akurat w przeddzień mojej wizyty zakończył dyżur kapitan Edgar Lorkowski. Czytelnicy z morzem lepiej obeznani pamiętają zapewne dramatyczne wydarzenia sprzed kilku lat; uczestniczył w nich właśnie kpt. Lorkowski i załoga ratowniczej „Muszli".

... wrzesień 1969 roku, miesiąc największych na Bałtyku sztormów. Placówka PRO we Władysławowie otrzymuje meldunek: przed chwilą zauważono czerwone rakiety strzelane w morzu. Czternastometrowej długości łódź ratownicza „Muszla" natychmiast wychodzi w morze. Pogoda tego popołudnia była wybitnie sztormowa, w porywach sztorm przekraczał 11 stopni w skali Beauforta. Kilka mil dzielących ich od wzywających pomocy ludzi płynęli prawie godzinę. W ciemnościach strzelili pierwszą rzutkę — wiatr porwał linę. Ponowili operację, z bliższej odległości, grożącej kolizją z ratowaną jednostką — tym razem próba się udała. W ciężkim sztormie wracali do portu holując niezdatny do żeglugi „Dar Opola" I nadeszła ta krytyczna chwila: wzmagający się wiatr i olbrzymie fale przewracają „Muszlę" do góry dnem. Kolejne fale i łódź wraca do normalnego położenia. Na rozprawie przed Izbą Morską kpt. Lorkowski powiedział, że uratowały ich silniki, które nawet na moment nie przerwały pracy. Upiorna karawana po czterogodzinnej akcji znalazła schronienie w porcie. Dopiero wtedy ludzie popatrzyli na siebie — każdy doznał obrażeń. Łódź też była uszkodzona — straty oszacowano na blisko ćwierć miliona złotych.

Kapitan Lorkowski na „Muszlę" już nie wrócił, ale nie zerwał kontaktów z morzem, pełni dyżury w PRO. I żeby akcję „Muszli" zakończyć całkowicie wypada dodać, że jednostka ta miała urzędowo zatwierdzoną zdolność pływania w sztormie nie przekraczającym 8 stopni! Formalnie rzecz biorąc mogli pozostać w porcie, mogli się zasłonić papierkiem. Jednak zdecydowali inaczej. Wypłynęli...

Niewielki pokój w dziale ratownictwa dosłownie cały jest zastawiony rozmaitym sprzętem. Najważniejsza wydaje się być radiostacja, najczęściej zresztą używana. Na ścianie niewielki zegar z zaznaczonymi okresami ciszy radiowej, przeznaczonej tylko dla jednostek znajdujących się w niebezpieczeństwie i wzywających pomocy.

— Każdy sposób zawiadomienia o niebezpieczeństwie jest dobry — mówi dyżurny inspektor. Dzwonią do nas żołnierze WOP, milicjanci, często wczasowicze. Bywa niestety i tak, że jacyś dowcipnisie, nie przestrzegający reguł obowiązujących na morzu strzelają „do wiwatu" kilka czerwonych rakiet. Mówimy wówczas — podobnie jak strażacy czy lekarze Pogotowia — o fałszywym alarmie...

Najnowsze i najnowocześniejsze jednostki ratownicze PRO oznaczono symbolem „R-27" (długość 30 m). Chwalą je, mówią o nich jak o ludziach: że są dzielne, że można im zaufać. Tylko te przekładnie zbiorcze — wzdychają. Urządzenie to — wyjaśniają — ma za zadanie „zbierać" napęd z dwóch silników i przekazywać na śrubę napędową. Nikomu nie trzeba więc tłumaczyć, jakim stopniem niezawodności powinno się ono charakteryzować. Cóż z tego, za granicą zakupione zostały prototypy i zamontowano je właśnie na „R-27". Mechanicy pukają się teraz w czoło i życzą „kupcowi" wszystkiego najgorszego. Dlatego powszechny śmiech wśród ratowników wzbudziło opublikowane w święta Bożego Narodzenia zdjęcie „Huragana" z podpisem: statek ratowniczy nawet w święta pełni służbę, gotów w każdej chwili do wyjścia w morze. Tymczasem wszyscy wiedzą, że właśnie „Huragan" od kilku miesięcy nie wychodzi z portu, bo właśnie przekładnia „się reperuje".

„Cyklon" ledwo widoczny był wśród oczekujących na kasację trawlerów. W ciasnej, ale przytulnej kabinie pojawił się zaraz krępy mężczyzna z rozwichrzonymi bokobrodami. To pierwszy mechanik — wyjaśnił 31-letni Tomasz Gajek, najmłodszy kapitatn w PRO.

— Pan pytał o przekładnię — upewnia się mechanik. Najlepszą cenzurkę wystawili tej kupie złomu mechanicy z zakładów, produkujących te części. Przyszli, obejrzeli, i skomentowali krótko: scheisse. To ja też mówię: g.... Ot, cały problem...

Zostaliśmy sami, kapitan Gajek częstuje herbatą.

— Cały czas nadzorowałem budowę „Cyklona" w stoczni — mówi — wiedziałem już, że będę nim dowodził, podglądałem, uczyłem się go od narodzin. Debiut tej cholernej przekładni o mało nie zakończył się tragicznie: szliśmy w pierwszy rejs, bodaj do Ustki, holując barkę załadowaną sprzętem budowlanym. Po drodze popsuła się trochę pogoda, podniosła się dokuczliwa fala, ale to przecież dla nas nie nowina. Przy portowych główkach przez chwilę miałem ochotę pomanewrować silnikiem, ten holowany „ogon" trochę nami rzucał, ale jakoś weszliśmy. Dobiliśmy bez kłopotów, tylko mechanik — jeszcze w drodze — mówił, że w maszynie coś nie gra i prosił pomocnika. Ledwo zacumowaliśmy, a tu przybiega do mnie biały jak trup mechanik i woła: niech pan zobaczy. Schodzimy do maszynowni, patrzę, a tę przekładnię dokumentnie trafił szlag! Trzymało się to wszystko tylko dlatego, że silnik kręcił się w jedną stronę. Jedna komenda „wstecz" i awaria. Mało brakowało, a pierwsze wyjście na nowym statku skończyło by się przed Izbą Morską.

Właściwie „Cyklon" stale miejsce postoju ma w porcie na Helu, ale dziś wyjątkowo znalazł się w Gdyni. Ohó — śmieje się kapitan — zaraz będzie żona. Z mieszkania rozciąga się bowiem widok na gdyński port. Wystarczy tylko spojrzeć przez okno i zobaczyć czy „Cyklon" przypłynął. — Nawet na służbie — żartuje — żona ma mnie na oku.

I rzeczywiście, ledwie wpływamy do basenu jachtowego, gdzie przesuwamy martwy kadłub „Huragana" — żona już czeka. Kapitanowa dopytuje się skąd przyjechałem, czy będę pisał o mężu i załodze. Niech pan nie zapomni dodać, że mąż pływał na „Darze Pomorza" i że ratownikiem jest już od sześciu lat...

Ostatnia akcja na „Cyklonie"? Kapitant zastanawia się dłuższą chwilę. Tak, akurat było to w czasie dyżuru drugiej zmiany. W końcu stycznia na kutrze Hel — 111 nagle zachorował rybak. Do portu ponad 50 mil. Zaszła więc konieczność szybkiego przetrasportowania go do szpitala. Najlepszy w tym wypadku okazał się śmigłowiec, jednak kuter nie miał odpowiedniego miejsca na pokładzie, żeby spuścić nosze — poszedł więc w morze „Cyklon" i dopiero wtedy śmigłowiec przejął rybaka.

Bywa i tak, że załoga podczas swojego dyżuru nie bierze udziału w żadnej akcji. W takim przypadku kapitan zobowiązany jest do jednego przynajmniej wyjścia w morze i przeprowadzenia tam próby sprawności wszystkich urządzeń ratowniczych.

Statystyki PRO wykazują, że największe zagrożenie stwarzają, a tym samym najczęściej wzywają pomocy jachty żaglowe. To tacy niedzielni kapitanowie — śmieją się ratownicy. I mają rację: gdzieś w głębi Polski kapitan dobiera sobie załogę na jeden rejs. Ludzie ci najczęściej widzą się po raz pierwszy w życiu, a ostatni raz pływali niejednokrotnie kilka lat temu, No i potem takie sytuacje: pod Jastarnią sprawny jacht, przystosowany do żeglugi w trudnych warunkach nagle strzela czerwone rakiety. Po odszukaniu jednostki okazuje się, że w średnim sztormie załoga po prostu pochorowała się na... chorobę morską i nie jest zdolna do pracy. Leżą wszyscy w kabinach, a kapitan — chyba tylko z obowiązku — siedzi na zewnątrz i strzela rakiety. Takich tylko posadzić na kajaki z zielonym liściem na burcie i pozwolić pływać w krytym basenie — śmieją się wszyscy

Nie każda akcja ratownicza musi odbywać się w szalejącym sztormie. Kiedyś — wspomina kapitant — za pośrednictwem Radio — Medical fiński prom wzywał pomocy lekarza: jedna z pasażerek zachorowała. Zgłosiliśmy gotowość wyjścia zawiadamiając Pogotowie Ratunkowe. Czekamy, czekamy, w międzyczasie z promu dopytują: co z lekarzem? Wreszcie jest lekarz, ale chyba nie powiedzieli mu, że mamy iść w morze, gdzie trzeba się będzie przesiąść na duży statek. No i na dodatek okazało się, że lekarz cierpi na chorobę morską. Zwróciliśmy się wtedy do Marynarki Wojennej, oni nie mają takich problemów. Nie pierwszy raz nam pomogli. Korzystamy też z pomocy wojskowego śmigłowca, ale wreszcie dorobiliśmy się swojego. Po niezbędnych przeróbkach nasz MI-8 również oznaczony Krzyżem Maltańskim rozpocznie swoją służbę.

Wszystkim, którzy wykonują niebezpieczny zawód, np. górnikom, saperom, oblatywaczom zadaje się to samo pytanie: czy odczuwają strach?

Kapitan Gajek zamyślił się na chwilę:

— Na morzu, kiedy spieszymy z pomocą nikt nie myśli o niebezpieczeństwie. Przygotowujemy się do akcji. A już na miejscu, gdy wychodzę na górny pomost — tylko stamtąd mogę widzieć dziób i rufę — skupiamy się na pracy. Nie czuje się wtedy mokrego ubrania i szczypiących oczu. Ludzie, którzy nas oczekują, najczęściej są w znacznie gorszym położeniu. Niekiedy jednak sami nie wiemy gdzie są ściany, gdzie podłoga, 60-stopniowe przechyły to normalna rzecz. Śledzę doniesienia specjalistycznej prasy zagranicznej i stąd wiem, że niekiedy i dla ratowników taka wyprawa kończy się tragicznie. Dopiero po powrocie do portu, kiedy odpoczniemy i na spokojnie analizujemy wszystkie posunięcia mamy chwilę refleksji...

Polskie Ratownictwo Okrętowe to nie tylko dzielne „Cylony" i „Tajfuny". To także holowniki „Jantar" i „Koral", które w ubiegłym roku w czarterze holenderskiego armatora opłynęły dookoła świat. PRO to także doskonale wyszkoleni nurkowie pracujący nie tylko na morzu, ale i na wielu znaczących dla gospodarki budowach np. Huty Głogów czy Katowice, w NRD i Czechosłowacji. Przy ich udziale dokonuje się czyszczenia kadłubów statków bezpośrednio na wodzie, bez konieczności stosowania suchych doków.

Wielu spośród zatrudnionych w PRO trafiło tu bezpośrednio po zakończeniu służby wojskowej, inni przeszli z PLO czy PŻM. Nie zwabiła ich tu chęć poznania świata, na dalekie morza i oceany wypływają przecież rzadko. Magnesem tym nie są też pieniądze: zarabiają znacznie mniej niż np. rybacy czy „normalni" marynarze. W takim razie co? Na to pytanie chyba jeszcze nikt nie udzielił jednoznacznej odpowiedzi: ktoś wspomniał o ryzyku, o chęci sprawdzenia się, ktoś miał dosyć wielomiesięcznych rejsów.

Morską tradycją na całym świecie stało się salutowanie jednostek ratowniczych przez przepływające statki. Jest to ukłon dla ludzi, którzy na każde wezwanie spieszą na ratunek. A w Polsce? Z wysokości kilkunastu pięter kolosa pływającego pod biało-czerwoną banderą nie zauważa się niewielkiej łupiny z Krzyżem Maltańskim na burcie...

Kapitan Gajek: ja mam się upominać o salutowanie? Nawet nie ma takiego przepisu. Posłać by tych wszystkich „największych" np. do Anglii, gdzie pozdrawiana jest każda łódź ze znakiem RNLI (odpowiednik naszego PRO — przyp. S.D.). Kiedyś pisała o tym red. B. Thoma, ale nic się nie zmieniło.

Charakterystyczne jest również i to, że w państwach znanych z morskich tradycji największym dostojnikom wizytującym port proponuje się jako środek lokomocji nie mahoniową motorówkę czy kapiący od niklu wodolot, a właśnie ratowniczy kuter...

* * *

Jedna z wyspecjalizowanych organizacji przy ONZ — Międzyrządowa Morska Organizacja Doradcza (IMCO) z okazji 20-lecia swojego istnienia wyznaczyła dzień 17 marca Światowym Dniem Morza. I czytając prasowe doniesienia o polskiej flocie nie zapominajmy, że nad bezpieczeństwem statków i załóg czuwają morscy ratownicy.

SŁAWOMIR DARZYCKI

AMERYKANIE POLSKIEGO POCHODZENIA

Nader często uważa się, że opinie Amerykanów o członkach polskiej grupy etnicznej w Stanach Zjednoczonych mają przede wszystkim zabarwienie negatywne. Przytacza się wiele różnej wartości dowodów prawdziwości tej tezy. Do najczęściej nowolywanych należą często cytowane „Polack jokes" — niewybredne dowcipy, zawierające różnego rodzaju pejoratywne charakterystyki Amerykanie polskiego pochodzenia dowcipów tych nie muszą lubieć, skoro czynili zabiegi o uznanie ich za nielegalne. Sprawa sądów Amerykanów o polskiej grupie etnicznej była od dawna przedmiotem badań socjologicznych mniej w naszym kraju, bardziej w Stanach Zjednoczonych przy czym wyniki tych poszukiwań często bywały rozbieżne. Nic więc dziwnego, że zagadnienia te zainteresowały młodego polskiego socjologa Andrzeja Kapiszewskiego, autora wydanej ostatnio (1977) we wrocławskim Ossolineum przez Komitet Badania Polonii Zagranicznej książki, zatytułowanej „Stereotyp Amerykanów polskiego pochodzenia". Rozprawa ta powstała w Instytucie Badań Polonijnych Uniwersytetu Jagiellońskiego, jako obroniona w 1976 r. praca doktorska.

Roczny staż w nowojorskim uniwersytecie Columbia, uzyskany dzięki otrzymanemu przez A. Kapiszewskiego stypendium Fundacji Kościuszkowskiej, umożliwił przeprowadzenie empirycznych badań socjologicznych w dziesięciu wyższych uczelniach amerykańskich, obejmujących zbiorowość ponad czterystu studentów. Praca ta — jak ją ocenia znany socjolog Jerzy J. Wiatr — stanowi „niezwykle dojrzałe i bardzo wartościowe studium empiryczne i teoretyczne".

Autor zajął się w niej teoretycznymi zagadnieniami stereotypów i autostereotypów proponując ich własną, interesującą typologię. Rozważył tradycje badań socjologicznych etnicznymi stereotypami. Skupiając swoją uwagę na stereotypach, dotyczących polskiej grupy etnicznej, potrafił spojrzeć na nie w kontekście ogromnie skomplikowanej pod względem etnicznym mozaiki społeczeństwa północnoamerykańskiego. Można wprawdzie postawić autorowi zarzut, że badana przezeń grupa jest stosunkowo niewielka, postulować rozszerzenie badań, nie sposób jednak nie dostrzec, że choć w ograniczonym zakresie, zostały one przeprowadzone w sposób bardzo sumienny i dojrzały.

Charakterystyczną cechą stosunków społecznych w Stanach Zjednoczonych jest — jak podkreśla to A. Kapiszewski — silne zazębianie się „struktury klasowej ze strukturą etniczną i religijną". W tych warunkach pochodzenie etniczne staje się nie tylko wyróżnikiem kulturowym jednostki czy grupy, ale — i to jest chyba najważniejsze — określnikiem jej statusu społecznego. Przynależność do danej grupy etnicznej ma więc zasadnicze znaczenie dla pozycji społecznej jej przedstawicieli stanowi bądź stymulator, bądź hamulec procesów awansowych w społeczeństwie współczesnym.

A. Kapiszewski sformułował na podstawie przeprowadzonych przez siebie badań szereg interesujących hipotez, wartych szerszego przedyskutowania. Zauważył, że stereotyp jest zależny od społecznej pozycji grup oceniających, przy czym istnienie sytuacji konfliktowej — np. na rynku pracy — sprzyja kształtowaniu się stereotypów negatywnych, jak Murzynów o Polakach i odwrotnie, zaś brak tej sytuacji, niekonkurencyjność, tego rodzaju niechętnych ocen nie wytwarza. Jest niezmiernie charakterystyczne, że grupy etniczne, stojące pod względem swej pozycji wyżej, aniżeli polska, mają o tej ostatniej wyobrażenia raczej pozytywne. „Generalnie — konkluduje autor — stereotypy Amerykanów polskiego pochodzenia posiadają analogiczną pozytywność jak stereotypy innych grup o podobnym statusie społecznym".

Istnieją jednak określone sytuacje, kiedy badane przez autora stereotypy przybierają odmienną, mniej „niewinną" postać. Negatywne elementy stereotypów bywają wykorzystywane przez inne grupy etniczne dla celów propagandowo-politycznych, co niejednokrotnie zdarzało się w Stanach Zjednoczonych właśnie w odniesieniu do polskiej grupy etnicznej. Popularyzacja tych negatywnych sądów była tam w pewnej mierze uwarunkowana — podkreśla A. Kapiszewski — brakiem szybkiego przeciwdziałania ze strony mało spójnej pod wieloma względami grupy polskiej". Na ocenach Amerykanów polskiego pochodzenia waży do dziś poglądy, odnoszące się do dawnych polskich przybyszów chłopskich wzmocnione „uprzedzeniami wobec imigrantów w ogóle", jakie rozpowszechniły się w szczególności na przełomie XIX i XX stuleci, stymulowane przez „elementy stereotypów nisko wykwalifikowanych pracowników fizycznych" oraz niezbyt chętnie widzianych w Stanach „katolików". Trwająca przez długi czas niska pozycja polskiej grupy społecznej uwarunkowała — zdaniem socjologa — jej własną wrażliwość na sprawy społecznej równości, co znajduje swoje odzwierciedlenie w opiniach, zebranych przez badacza.

Czy stereotyp Amerykanina polskiego pochodzenia ulega dziś zmianie? Na to pytanie trudno znaleźć jednoznaczną odpowiedź, choć wiele wskazuje że tak właśnie jest. Na zakończenie swych rozważań A. Kapiszewski powiada: „Zmiana stereotypów Amerykanów polskiego pochodzenia może nastąpić — jak sądzę — bardziej w efekcie ich awansu społeczno-ekonomicznego, niż określonych akcji propagandowych. Stwierdzona aktualnie duża mobilność Polonii amerykańskiej zwłaszcza w dziedzinie wykształcenia i dochodów, pozwala na optymizm w tym względzie".

ANDRZEJ F. GRABSKI

KONFRONTACJE 77 — CZĘŚĆ PIERWSZA

Relację tę składam na półmetku Konfrontacji 1977 roku, zatem na uogólnienia jeszcze nie pora. Śmiem sądzić, że wachlarz tematów i stylów zaprezentowanych filmów sprawił, iż pierwszy tydzień imprezy nie rozczarował prawdziwych kinomanów. Nie dostarczył on nastrojów prostej rozrywki, to pewne, ale też nie tej tonacji kina szukamy w dniach Konfrontacji, choć wydaje się, że część publiczności o tym jak gdyby zapomina. Casus „Rocky'ego", który zaspokaja rozmaite gusty, nie zdarza się często.

„Rocky" Johna G. Avildsena i, zważywszy wielostronne współautorstwo sukcesu, Sylvestra Stallone wprowadził nową nutę do ambitnych filmów amerykańskich lat 70-tych. Choć bliski w swych obserwacjach społecznych takim choćby filmom, jak „Strach na wróble" czy „Taksówkarz", wprowadza ton wiary i optymizmu, którego w tamtych nie było. „Strach na wróble" też usiłował szukać wartości w ludziach samych, ostatecznie jednak film ten był wielkim krzykiem rozpaczy. Nie ma go w „Rockym". I chyba właśnie ten ładunek ciepła, dobra i pewnej wewnętrznej siły, który niesie tytułowy bohater tego filmu, o paradoksie — bokser wagi ciężkiej — sprawia, że zmęczeni brutalnymi obrazami świata, ludzie tak gorąco reagują na jego los. Ogromna to zasługa rewelacyjnego Sylvestra Stallone, scenarzysty aktora i boksera w jednej osobie.

Czystą tym razem rozrywkę zaproponował swym wielbicielom Luis Bunuel, dla którego sztuka kina nie ma już żadnych tajemnic. Zdając się mówić — „znacie moje reguły gry" — bawi się sam i daje radość innym. Niezawodny w piętrzeniu surrealistycznych pomysłów, tym razem zaproponował nam „opowieść wagonową", w której, zgodnie z konwencją, wszystko może się zdarzyć. Najbardziej ze wszystkich cudowności tego filmu podoba mi się osobiście to, że największym purenonsensem uczynił tym razem wielki szyderca fakt, że człowiek może być tak szczery, jak narrator jego filmu, choć i tu robi Bunuel oko do nas — to my, a nie współtowarzysze podróży bohatera, wiemy, że Conchita ma dwie postaci.

Kto wielbi Bunuela, popadł też zapewne w zachwyt oglądając film Alaina Resnais „Opatrzność". Film ten uważam za największą dotychczasową niespodziankę Konfrontacji. Autor takich filmów, jak „Hiroszima moja miłość", „Zeszłego roku w Marienbadzie", „Muriel", wielki nowator filmowych form narracyjnych i sposobów organizacji filmowego czasu, tym razem zrealizował film zdawałoby się obcy swej osobowości. Zawsze pełen powagi w tym, co robi, w przypadku filmu „Opatrzność" Alain Resnais bliski jest właśnie Bunuelowi. Zachowując wszystkie strukturalne cechy swych dotychczasowych dzieł, wpisał je w wytłumaczalną możliwość, jaką daje ludzka wyobraźnia uosobioną w postaci starego pisarza, który cierpiąc bóle i pijąc wino, nocą tworzy nową powieść, której bohaterami są jego bliscy. Zachodzące w jego wyobraźni konfiguracje ich losów i charakterów, tworzą opowieść, która staje się na naszych oczach, i którą mocą swej decyzji pisarz i narrator może zatrzymać, zmienić, a nawet cofnąć. Wszystko jest możliwe. W tej grze wyobraźni i naszym w niej współuczestnictwie wiele gorzkiego smutku, choć osobowość narratora we wspaniałej kreacji Johna Gielguda narzuca mu tonacje szyderstwa i kpiny. Ona to właśnie pospołu z wielu surrealistycznymi pomysłami, spośród których zacytujmy pomysł z białym winem, sprawia, że odnosimy wrażenie, iż nad nowym filmem Alaina Resnais unosi się duch Luisa Bunuela. Po „Opatrzności" bardzom ciekawa dalszych filmów jej reżysera.

Choć na wstępie tej relacji zastrzegłam, że od Konfrontacji nie oczekujemy powodzi uczuć rozrywkowych, wszystkie trzy powyższe filmy spełniają ich szlachetny wariant w sposób doskonały. Pozostałe filmy pierwszego tygodnia wymagały już od nas innego duchowego nastawienia.

Najsilniejszym uderzeniem był niewątpliwie film braci Taviani „We władzy ojca". Obdarowany Złotą Palmą Cannes, reprezentuje kino najwyższej rangi i funkcji społecznej. Przed laty oglądaliśmy „Dzikie dziecko" Truffauta, a na ubiegłych Konfrontacjach pokazane przez Herzoga dzieje Kaspara Hausera. Byliśmy nimi niewątpliwie wstrząśnięci, rozważając biologiczną i społeczną kondycję człowieka. Dzieje chłopca-naszych konkretnych adresatów. To już nie natura i przypadek najbardziej nawet okrutny, to patologia życia społecznego czasów współczesnych. Łatwiej ten film oglądać Polakom, trudniej Włochom, choć nie tylko chyba swym rodakom bracia Taviani film swój dedykowali. Surowe jego piękno sprawia, że siła oskarżenia jest przy tym tak wielka.

Natura i człowiek, tym razem w swych związkach trudnych, ale i pięknych, to także temat węgierskiego filmu „Dwa postanowienia" Imre Gyongyossy. Zrealizowany paradokumentalną metodą, odnajduje w życiu starej chłopki wartości, o których braku mówił film Tavianich.

Polską kinematografię reprezentuje film Stanisława Różewicza „Pasja" — rzecz o Edwardzie Dembowskim i powstaniu krakowskim 1846 roku. Do filmu tego powrócimy niedługo z racji jego premiery, dziś wspomnieć tylko wypada, iż gorzka jego historiozofia każe głęboko zadumać się nad kartami polskich walk narodowo-wyzwoleńczych.

EWA NURCZYŃSKA

OKIEM PRZECHODNIA

Wystawa Norberta Skupniewicza w Galerii Sztuki przy Wólczańskiej należy do najbardziej interesujących, jakie odnotowałbym w ciągu ostatnich miesięcy. Poznański artysta ma znaczące miejsce pośród twórców zorientowanych niegdyś na ekspresyjny, „skojarzeniowy" informel — nurt wyrosły z abstrakcji lat sześćdziesiątych, który następnie złączył się z realistyczną metaforyką Nowej Figuracji. Obie te orientacje Skupniewicz rozwinął w oryginalny, łatwo rozpoznawalny styl.

Uderza przede wszystkim rozmach tego malarstwa, kolor, wyraźny i swobodny rysunek. Jeśli często porównuje się obrazy do utworów muzycznych, to prace Skupniewicza wypada nazwać rapsodiami, może takimi jakie pisał George Gershwin. Porównanie zdaje się być tym bardziej uzasadnione, że malarz świadomie nawiązuje do początków abstrakcji, Marcela Duchampa, Delaunaya, chyba także polskiego Formizmu. Kolor i rysunek tworzą „pierwszą warstwę" obrazu; pod nią dopiero kryją się zdeformowane fragmenty ciała — główny motyw najwcześniejszego wydania Nowej Figuracji.

Na łódzkim pokazie, bogatym i reprezentatywnym, można oglądać prace z ostatnich lat. Środki wypowiedzi używane przez Skupniewicza ewoluowały od informelu poprzez kolorystyczną szarość i obłość formy charakterystyczną dla „baconizmu" — do dzisiejszej ostrości i dźwięczności.

Ten czy inny rodowód stylu artysty staje się mało istotny wobec faktu, że jest to malarstwo tak żywe. Może nie brak mu lekkich przerysowań: zbytniego dopracowywania śladów rysującego z rozmachem pędzla, nadużywania estetyzujących kontrastów barwnych. Ale i tak malarstwo Skupniewicza widziane na tle współczesnych — a zwłaszcza polskich — odmian Nowej Figuracji zdaje się świadczyć, że jest mu bliższy zdrowy sensualizm niż efemeryczna metaforyka. Zdążyłem się już odzwyczaić (myślę że wraz z publicznością wystaw) od wyraźnego języka malarstwa. Przenośnia — żeby utrzymać się w konwencji tego nurtu — każe zaciemniać sens, sublimować kolor, pomniejszać wymiary płócien. U Skupniewicza wszystko jest na odwrót, co wreszcie zaczyna cieszyć. Tym samym jakby bardziej konkretny stawał się deklarowany często postulat zaangażowania artysty lub żądanie aktywnej postawy wobec rzeczywistości. Nawet gdy Skupniewicz posługuje się autorefleksją czy zapisem wewnętrznych przeżyć — nie stara się nikogo smucić zawiłością losowych meandrów. Tak sformułowana propozycja ma przewagę — choćby tylko wizualną — nad argumentacją wypowiadaną przy pomocy skromniejszego języka; jest po prostu bardziej przekonywająca niezależnie od zawartości. Może żywiołowość Skupniewicza podyktowana jest temperamentem. Ale chyba także przekonaniem, że to co głębokie może również okazać się ciemne.

W tej samej galerii trwa wystawa dwóch artystek bułgarskich, od kilku lat związanych z Polską i Łodzią: Lidii Cankovej-Kubasiak i Iwanki Petrovej-Szram. Cankova nie jest już debiutantką; dała się poznać z jak najlepszej strony w czasie grupowego pokazu pracowni doc. Pierzgalskiej. Posługuje się najprostszym tworzywem: płótnem, zgrzebnym sznurem i tworzy z nich grupy obiektów przypominających liturgiczne szaty lub stroje aktorów awangardowego teatru.

Iwanka Petrova wykonuje na co dzień wymagający precyzji zawód konserwatora dzieł sztuki. Częsty kontakt z dawnym malarstwem pomaga jej budować ciepły, niemal poetycki nastrój obrazów pełnych osobistych wątków. Wspomnienia o rodzinnym kraju mieszają się na nich ze współczesnością typowo kobiecych przeżyć: zwiastowaniem i oczekiwaniem macierzyństwa. Kolor jest delikatny, lśniący, poszczególne plany przenikają się tworząc kompozycje pełne aluzyjnych niedopowiedzeń. Wydaje się jakby artystka szukała dopiero własnego języka, a sposób wypowiedzi określa głównie temat obrazu — jak ma to miejsce na płótnie z widokiem starego Płowdiw, malowanym w „ikonowej" konwencji lub też świetlistym, delikatnie rysowanym portrecie „Paola".

Przypadkowe zetknięcie się tak odmiennych sposobów wypowiedzi: żywiołowości Skupniewicza i delikatności młodych artystek bułgarskich jest chyba szczęśliwą okazją do refleksji o malarstwie i tkaninie artystycznej. Można w niej pominąć wartościowanie i zatrzymać się na wątku metafory zbudowanej przy pomocy prostych, czytelnych środków. Ten sposób wypowiedzi bywa nazywany „osobistym", choć przecież wiadomo, że we współczesnej plastyce takie określenia straciły dawno moc wyjaśniającą. I dlatego szuka się na wystawach instynktownie tego, co wydaje się już banalne i niemodne. Może na przekór teorii o kryzysie wartości. A może także z autentycznej potrzeby.

ANDRZEJ MAJER

Eugene Ionesco: Gra w zabijanego. Scena zbiorowa
Foto: S. Arczyński

OKLASKI PRZY OTWARTEJ KURTYNIE

Wkrótce po krakowskim Teatrze im. Słowackiego gościliśmy w Łodzi zespół Teatru Polskiego z Wrocławia. I znów widownia Teatru Nowego wypełniła się po brzegi, i znów przeważała młodzież, choć średnia wieku jakby przesunęła się nieco w górę, ton nadawali już nie maturzyści, a studenci raczej. Reagowali doskonale, gorąco i ze znajomością rzeczy, w toku akcji, jak i po obu przedstawieniach dziękując gościom długimi i zasłużonymi oklaskami przy otwartej kurtynie.

Odnotowuję ten fakt, skrupulatnie śledząc przemiany zachodzące w teatrze, o przemianach jakim podlega publiczność mówimy bowiem i piszemy raczej mało. A tymczasem na widowni coraz częściej zasiada już nowe pokolenie, dla którego Różewicz jest nieomal klasykiem, a odbiór uchodzącego ongiś za awangardzistę Ionesco nie przedstawia żadnych trudności...

Iżby nie być całkiem gołosłownym, posłużę się statystyką. „Kartoteka" Różewicza miała swoją łódzką premierę w Małej Sali Teatru Nowego 2 lutego 1966 roku i choć grana była również w następnym sezonie, osiągnęła niespełna 30 przedstawień i nieco poniżej czterech i pół tysiąca widzów. W dwanaście lat później ta sama „Kartoteka" przywieziona przez teatr z Wrocławia miała dwa „nadkomplety" na Dużej Sali, a więc widzów blisko półtora tysiąca, zaś amatorów na trzeci i czwarty spektakl było pod dostatkiem. Oczywiście można powiedzieć, że spektakl łódzki sprzed lat udał się raczej przeciętnie, gdy przedstawienie **Tadeusza Minca** ośmieliłbym się zaliczyć do wybitnych, ale o tym większość widzów wiedzieć raczej nie mogła i kupowała bilety dlatego po prostu, iż głośną sztukę Różewicza chciała zobaczyć na scenie.

Tą sztuka bez bohatera, a raczej z bohaterem bez twarzy, którym mógłby być ktokolwiek z naszej współczesności, nie zestarzała się bynajmniej w ciągu lat osiemnastu, jakie minęły od jej pierwodruku na łamach „Dialogu". Nadal jest ostra, niepokojąca, może nawet gniewna; nadal budzi refleksje i nie poddaje się zupełnie jednoznacznemu odczytaniu.

Tadeusz Minc — wybaczcie, proszę, to słowo — rozpoczyna spektakl nieco pretensjonalnie: na widowni, w pustych jeszcze rzędach krzeseł siedzą białe manekiny, taki sam biały manekin rozwala się na łóżku ustawionym w centrum sceny. Wchodzi bohater, usuwa kukłę i sam zajmuje tej miejsce. Zakrywa twarz prześcieradłem. Chrapie. Długi, natarczywy dzwonek. Światło przygasa i znowu się rozjaśnia. Bohater chrapie. Długi, powtarzający się, natarczywy dzwonek. Światło przygasa i znowu się rozjaśnia. Bohater chrapie. Długi, powtarzający się kilkakrotnie, natarczywy dzwonek. Światło...

No, w tym miejscu — przyznaję — byłem lekko zdenerwowany. Po takim wstępie reżyser musi chwycić za gardło, musi udowodnić, że miał prawo domagać się od widowni pełnego skupienia.

Udowodnił. Spektakl jest jędrny, precyzyjny, bez pustych miejsc, bo choć nie brakuje pauz i wyciszeń, te pauzy coś znaczą, są potrzebne. Minc dużo skreślił, ale chyba miał rację skreślając, bo tekst zyskał jedynie na zwartości. Dodał bardzo piękny wiersz Różewicza „Drzewo" i chyba znów miał rację dodając, bo ten śpiewany wiersz znakomicie zamyka przedstawienie.

Chór staruszków odmłodniał, scenograf przyodział go wszelako w czarne peleryny romantyków i postrzępione mundury powstańców i ten kostium oddalił niejako postacie w czasie, pozwolił kwestie komentarza wypowiadać niby z głębin historii.

Nade wszystko jednak reżyser bardzo pięknie poprowadził aktorów ze **Zdzisławem Kozieniem** (Bohater), **Tadeuszem Skorulskim** (Wujek) i **Jadwigą Skupnik** (Tłusta Kobieta) na czele. Tą ostatnią na zejście publiczność nagrodziła oklaskami i miała stokrotną rację, bo była to rola z jednej bryły, zagrana wręcz hazardownie, prowokująco, na pograniczu wulgarności, w sposób świadomie nieestetyczny. A zarazem była to rola znakomita, prawdziwa ozdoba ogromnie interesującego spektaklu.

Nazajutrz oglądaliśmy „Grę w zabijanego" Eugene Ionesco, makabryczną, a zarazem drwiącą opowieść o umieraniu zaatakowanego przez zarazę miasta.

Spektakl wrocławski wyreżyserowany przez **Henryka Tomaszewskiego** miał swoją polską prapremierę w 1973 roku, zbierając ogromnie pochlebne, nieomal entuzjastyczne recenzje; późniejsze o cztery lata wznowienie nie zdaje się być jednak aż tak precyzyjne, co poniekąd zrozumiałe, jeżeli weźmie się pod uwagę konieczność dokonania licznych zastępstw.

„Grę w zabijanego" opowiada Tomaszewski przede wszystkim językiem pantomimy, wprowadzając na scenę wszechobecną, wcielającą się w coraz to nowe postacie Śmierć (doskonała rola Erwina Nowiaszka, który w ruchu i w masce przypomniał samego mistrza z czasów gdy ten jako mim święcił sceniczne triumfy), budując efektowne sceny zbiorowe, narzucając wykonawcom wystylizowany i zunifikowany gest, a nawet sposób chodzenia.

Zarazem — co aż zaskakujące — tekst Ionesco zszarzał, stał się mało ważny. W części drugiej spektaklu mamy na przykład niezwykle istotną w sztuce scenę rozmowy lekarzy, którą Tomaszewski pospołu ze scenografem skopiowali z „Lekcji anatomii" Rembrandta. Plastycznie jest to piękne, gdy jednak pierwsze urzeczenie mija, nagle zdajemy sobie sprawę, że tekst brzmi pusto i nawet nie bardzo umiemy się w niego wsłuchać.

I tak aż do końca. Wszystko, co jest wizją, a więc pantomima bądź plastyka — zwłaszcza wspaniałe, orgiastyczne zamknięcie pierwszej części widowiska — budzić może najszczerszy podziw, to jednak, co nazwiemy fonią, a więc padające ze sceny słowa, niepokojąco blednie. Nie zdaje się to wszelako ceną za wysoką za spektakl o tylu niepokojąco pięknych, głęboko zapadających w pamięć sekwencjach.

JERZY PANASEWICZ

DWIE ADAPTACJE

Czy można opisywać teatralne adaptacje utworów literackich, odrzuciwszy pokusę porównań, gdy odsłania się wdzięczny dla nich obszar: między pierwowzorem a jego nową wersją, między pisarzem a twórcami adaptacji, w punkcie spotkania różnych stylów i wyobraźni? Porównania te mogą być pasjonujące, jeśli mamy do czynienia z samoistną wizją sceniczną, jeśli wyobraźnia adaptatora i reżysera rozpięta na kanwie pierwowzoru nową rzeczywistość, nie mniej, a często bardziej sugestywną niż oryginalną. Ale naturalnie wizje kongenialne czy znakomitsze zdarzają się rzadko. Częściej — jedynie mniej lub bardziej wierne kopie i przeróbki.

Domyślam się, dlaczego Teatr Lalek „ARLEKIN" zdecydował się na dwie kolejne adaptacje. Za obiema stoi mocny argument: wielka popularność pierwowzorów literackich. Zarówno bowiem bajki Jana Brzechwy, których nie trzeba przedstawiać, jak i opowieści o Muminkach pióra Finki Tove Jansson, należą do najbardziej lubianych utworów. Nie tylko zresztą przez dzieci. Pamiętam z czasów studenckich jak popularnością cieszyły się „Muminki" wśród studentek polonistyki. Równie ochoczo czytują je dotąd licealiści... Czy znaczy to, że infantylna jest nasza młodzież?

Nie! — zawoła każdy, kto przeczytał choćby jedną z tych uroczych książek. Nie są co prawda „Muminki" dziełami tej klasy co „Mały książe" czy „Przygody Alicji w krainie czarów" czytywane przez dzieci, co i przez dorosłych, ale Tove Jansson, wywodząc swych bohaterów z kręgu skandynawskich mitów, zawarła w losach i postaciach fantastycznych Trollów sporo trafnie podpatrzonego ludowego obyczaju, ciepłej, ludowej mądrości i wierzeń z pogranicza magii, a wszystko to godne jest poznania i przez czytelników starszych. „ARLEKIN" spektakl W dolinie Muminków" zaadresował jednak głównie dla dzieci (od lat pięciu). Ale czy chęć spopularyzowania baśniowego świata skandynawskich stworów wśród najmłodszych widzów musiała oznaczać jego uproszczenie i w konsekwencji — zubożenie?

Adaptator fabułę dla widowiska zaczerpnął z trzech zaledwie spośród siedmiu rozdziałów „W dolinie Muminków". Bogaty, pulsujący niezwykłym życiem świat zawężony został tak przestrzennie, jak i czasowo do dość skromnie i tradycyjnie pojętych ram sceny lalkowej. Przygodom Muminków odebrano właściwy im rozmach. Geograficznie ograniczono je w zasadzie do wnętrza domu i najbliższego otoczenia. A gdzie fantastyczne podróże i pełne niespodzianek spotkania z mieszkańcami Samotnej Wyspy? Uproszczeniu uległy również inne wątki postacie z całego szeregu Trollów, świadczących właśnie o bogactwie baśniowego świata wręcz zrezygnowano. Dokonując tych spustoszeń, przeniesiono akcent z pierwiastka fantastyczności na jasność logiki i potoczystość dość prostej fabuły, racjonalizując baśniowy jak by nie było świat i wyjaśniając wszystkie jego irracjonalne mechanizmy działaniem jedynie tylko siły sprawczej — Czarodziejskiego Kapelusza, który spośród wielu motywów konstrukcyjnych ostał się właściwie wyłącznie.

Odniosłem wrażenie, że wyobraźnia adaptatora i reżysera nie nadążyła za wybujałą wyobraźnią autorki „W dolinie Muminków" nie dość głęboko wniknęła w charakterystyczną dla Skandynawów wyobrażeniowość. Sądzę też, że odrzucając tak wiele cennego tworzywa, należało je choć w części zastąpić czymś lepszym. „Muminki" w „ARLEKINIE" są przykładem rezygnacji z tej podstawowej w adaptacji zasady.

Podobne zarzuty można postawić „Bajkom Pana Brzechwy". Oba spektakle rozwijają się według podobnego narracyjnego schematu (udział opowiadacza-komentatora), obu wierność literaturze nie wyszła na zdrowie. Czy rzeczywiście jedynym sposobem na bajki Brzechwy, których walory tkwią nie w fabule, lecz raczej w poetyckim słowie, jest ilustracyjność pokazywanie" wprost w scenkach i obrazach wątłej akcji bajek uzupełnianych przepisanym z Brzechwy materiałem? Nie zgodziłbym się więc z recenzentką „EXPRESSU", która podkreślała „umiar" z jakim twórcy podeszli do „świetnego tekstu" autora, dając mu pierwszeństwo". Czy nie jest to po prostu dowód osłabienia ambicji teatru wobec literatury, która przecież i bez niego jest dość popularna? Szkoda więc, że jak pisze L. Hoszowska (w tonie pochwalnym) „adaptacja ograniczona została do łączników" między bajkami.

Nawet najmłodsza widownia, na której opinię powołuje się L. Hoszowska, ożywia się dopiero w drugiej części, kiedy inscenizator wprowadza niespodziewane pomysły spoza tekstu Brzechwy. Tu dopiero zaczyna się teatr i aplauz widzów.

Wszystko co napisałem nie znaczy jednak iżby obie sceniczne adaptacje pozbawione były wartości. W obu wypadkach zwracają uwagę scenografia i lalki (autorstwa Adama Kiliana i Bohdana Butenki). Godna podkreślenia jest również gra aktorów (w trudnych warunkach sceny w Centralnym Muzeum Włókienniczym). Lecz to wszystko tylko trochę łagodzi uczucie niedosytu.

TOMASZ SOLDENHOFF

zdarzenia i zwierzenia

ZBYT WIELE WSPOMNIEŃ

Dwadzieścia lat ukazują się „Odgłosy" i dwadzieścia lat jestem z tym pismem związany. Pierwszy tekst wydrukowałem tu bodaj w trzecim numerze, w marcu 1958 roku — potem mój związek z „Odgłosami" przyjmował różne formy... W różnych okresach różne były stopnie mojego osobistego zaangażowania w trudne, ale typowe koleje pisma. Jedno wszakże mam prawo po dwudziestu latach powiedzieć — jest to czasopismo mojego życia.

Wszystkie moje książki tu wzięły swój początek — od debiutanckiego „Poematu nie doskonałego", po te jeszcze nie wydane. Mój stosunek do „Odgłosów" przypomina niedobrą miłość, którą należałoby dla dobra sprawy wyrzucić co rychlej z pamięci.

Ale nie da się wyrzucić z pamięci dwudziestu lat. Pamiętam więc, że „Odgłosy" od samego początku istnienia pomawiane były przez różnych ludzi o partykularyzm, niski poziom, nudę, brak ogólnopolskiego rezonansu... Zmieniano naczelnych, przychodziły metamorfozy kolejne zespoły redakcyjne, a repertuar zarzutów pod adresem „Odgłosów" jest wciąż ten sam, co przed dwudziestu, piętnastu, dziesięciu laty.

Ktoś, kto „Odgłosy" zaczął czytać pięć—sześć lat temu, może pomyśleć, że pismo istotnie nie zmieniło się w ciągu dwudziestolecia. Ale to przecież nieprawda! W ciągu tych lat profil i charakter pisma kilkakrotnie się zmieniały.

Dziś można powiedzieć, że pod tym tytułem ukazywało się parę zupełnie różnych pism — lepszych i gorszych, lecz ogólna tendencja jest chyba jednak rozwojowa, wzrostowa. Jeśli w ciągu tych lat charakter pretensji pozostaje niezmienny, to albo działa tu automatyzm opinii, albo „Odgłosy" zbyt wolno dostosowują się do rosnących ambicji środowisk twórczych. Może jedno i drugie.

Co by jednak nie mówić o doraźnych pretensjach na doraźny użytek — to zawsze mobilizowały one kolejne zespoły do bardziej krytycznej samooceny, do „burzy mózgów" rodzącej nowe pomysły, nowe koncepcje, nowe kierunki rozwoju pisma. Dlatego też uważam ów ton wiecznych pretensji do „Odgłosów" za czynnik pozytywny, za drożdże, na których rosła nasza troska o pismo lepsze, niż jest.

No właśnie — jakie są te „Odgłosy"? Czytelnicy nieraz oceniają nas niesprawiedliwie — my sami z pewnością oceniamy się nieraz zbyt łagodnie. A prawda leży zapewne pośrodku. Jedno wszakże trzeba powiedzieć bez obawy o przesadę w tę czy tamtą stronę: „Odgłosy" były i są pismem miastu potrzebnym.

Myślę nawet, że są bardziej potrzebne niż miesięcznik o wysokich aspiracjach i wysokim poziomie. Oczywiście byłoby doskonale, aby taki miesięcznik mógł funkcjonować równolegle z „Odgłosami". Skoro jednak miasto stanęło przed koniecznością wyboru — myślę, że taki właśnie wybór jest właściwy.

I może właśnie dlatego „Odgłosy" wytrzymały próbę czasu, próbę całych dwudziestu lat. Jest to jedyne pismo w blisko stuletniej historii łódzkiego czasopiśmiennictwa które przeżyło w tym mieście tak długo. A przeżyło może właśnie dlatego, że wciąż przechodziło i przechodzi metamorfozy — od magazynu drukującego krzyżówki, zagadki i powieści rysunkowe, aż po pismo drukujące całe kolumny wierszy, eseje i szkice literackie.

Przeczytawszy to, co wyżej napisałem, widzę, że brak tu wspomnień, jak przystało na felieton jubileuszowy. Ale wspomnień jest zbyt wiele, jak na jeden felieton. Nawiasem mówiąc, pierwszy jubileuszowy felieton o „Odgłosach" napisałem w marcu 1963 roku, czyli na pięciolecie pisma.

„Odgłosy" były wówczas raczkującą gazetą, etatowy trzon zespołu był nieliczny. Raptem pięć osób. Naczelny — **Wiesław Jaździński** oraz **Zbigniew Chyliński, Jarosław Marek Rymkiewicz, Zbigniew Nienacki, Tadeusz Papier** (sekretarz redakcji) i **Halina Bekowa** (redaktor techniczny).

Dziś, gdy się spojrzy na listę nazwisk w stopce redakcyjnej, w głowie się może zakręcić. Razem ze stałymi współpracownikami jest u nas dwadzieścia pięć osób. Czy to znaczy, że kiania nam się słynny prof. Parkinson? Myślę, że nie.

Po prostu na przestrzeni dwudziestu lat zmieniły się metody redagowania gazety, wzrosła jej objętość, wykrystalizowały określone specjalizacje wymagające dodatkowych pracowników. Słowem — jest to wyraz tendencji rozwojowych. W jakim kierunku pójdzie ten rozwój — nie będę zgadywał. Bowiem, jak mawiał bohater sztuki Sartre'a — „Gazety się nie redaguje, gazetę się tańczy". Jakiego poloneza tańczyć będziemy w ciągu następnych lat — czas pokaże. Ważne, żeby to był taniec wspólny z Czytelnikami.

WIDOK

GALERIA JUBILEUSZOWA

Rys. S. Ibis-Gratkowski

Jerzy Wawrzak (czyta „Odgłosy"), Jerzy Wilmański, Lucjusz Włodkowski i Włodzimierz Stokowski w milczeniu oczekują nadejścia Jubileuszu...

lewym okiem

DWADZIEŚCIA LAT

Dwadzieścia lat temu ukazał się w sprzedaży pierwszy numer „Odgłosów". Dwadzieścia lat temu — bez żadnego z „Odgłosami" związku, po prostu tak wypadło — wprowadziłem się do nowego mieszkania w nowym budynku, stojącym samotnie zbudowanym przez jedno ze zjednoczeń przemysłowych dla pracowników tegoż zjednoczenia.

Przed domem był wówczas trawnik, odgrodzony od chodnika estetycznym żelaznym płotem. Na trawniku rosły krzaki głogu, pięknie kwitnące wiosną. Ponieważ piwnice zalewała woda, specjaliści uznali za konieczne otoczyć dom szeregiem betonowych studzienek. Kopiąc studzienki, wykopali krzaki głogu i dotychczas nic nowego nie wyrosło.

Nic nie wyrosło także dlatego, że zlikwidowano płot od strony chodnika. Makieta trawnika przed domem niby została, ale co trzy kroki trawnik przecina ścieżka, depcze się po nim beztrosko, psy latają, mleczarz jeździ wózkiem bo mu bliżej o dwa metry. Panie z parteru, obdarzone czułymi sercami, wyrzucają na trawnik resztki obiadowe dla gołębi. Gołębie pewno się cieszą, widok jest obrzydliwy.

Dwadzieścia lat temu na podwórzu obok domu i za nim bawiły się dzieci — nasze i sąsiadów. Te dzieci już mają dzisiaj swoje dzieci, ale one nie grają w palanta, ani w skakanki, ani w czarnego ludka. Cicho jest na podwórzu, zresztą zmniejszonym o połowę w wyniku różnych nowych pociągnięć urbanistyczno — bytowych. Zmniejszone podwórze oczywiście starannie wybetonowano, dwie czereśnie, na które czasem wspinały się dzieci, wycięto, trawa nie rośnie, mucha nie siada. Teraz stoją tam samochody oraz leży ogromna, wciąż rosnąca hałda żużlu — jako że dom nasz nie jest dzięki Bogu podłączony do sieci elektrociepłowni i ma ambicje ogrzewać się sam. Dzieci mają telewizory i dobrze im tak.

Nasz dom — oprócz budowy studzienek był remontowany od zewnątrz jeden raz. Pomalowano wtedy ściany, które w dwa miesiące potem wyglądały szkaradniej niż przed remontem, bo wszystko się złuszczyło i sparszywiało. Napisałem wtedy felieton o jakości farb i obraził się listownie ktoś z fabryki w Zgierzu, produkującej te farby. Na moje zaproszenie, żeby dokonać oględzin domu, nikt jednak nie przyszedł.

Komitet domowy zorganizował przed dwadzieścia lat chyba ze trzy zebrania lokatorów, na które nikt nie przychodził. Sam komitet — uczciwie mówię — robił jednak co mógł, chociaż prawie nic nie mógł.

Przez dwadzieścia lat trzy razy mierzyły różne komisje moje mieszkanie dla celów wymiaru czynszu i za każdym razem pomiary wypadały inaczej. Ostatnio mierzono nas przed tygodniem, ale wyników nie podano: poufne.

Dozorca czy raczej gospodarz domu, zmieniał się tylko dwa razy. Teraz jest sympatyczna młoda gospodyni, która mieszka gdzieś w mieście i wracając do siebie zamyka na klucz piwnice. Po jej odejściu nie można już przynieść sobie ziemniaków ani słoika z kompotem, a co gorsze — nie można dostać się do zaworu zamykającego dopływ wody dla całego pionu. Jeśli gdzieś w pionie zdarzy się najgłupsza awaria — woda będzie zalewać wszystkich aż do rana, do przyjścia pani gospodyni. Mówiliśmy parę razy, że to nie żarty, że możemy się dorąbać nielichej draki. W komórce z zaworem stoją jednak miotły i łopaty i gospodyni domu nie może ich narażać na kradzież.

Co zaś do ogólnego wejścia do piwnic — proszę bardzo, można nie zamykać. Nie zamykało się przez wiele miesięcy, z piwnicznego korytarza korzystali zakochani i pijacy, nie licząc całych stad zdziczałych kotów straszących po nocach. Wreszcie kogoś okradziono i teraz się zamyka zarówno przed złodziejami i zakochanymi, jak przed prawowitymi użytkownikami.

Przez ten czas „Odgłosy" wychodzą nieprzerwanie i są niewątpliwie częścią krajobrazu kulturalnego naszego miasta. Czy w naszym domu ktoś je czyta oprócz mnie — nie wiem. Jeśli ktoś czyta, może w tym felietonie pozna, że to o nas. Ale czy to łatwo poznać? Takich domów w Łodzi są przecież setki...

ĆWIEK

NIEZNANY FRAGMENT „PANA TADEUSZA" PRZEZ PROF. JERZEGO WIDOKA W REDAKCYJNYM KOSZU NA ŚMIECI ODNALEZIONY ANNO 1978 W MIEŚCIE ŁODZI...

Drzwi obite czerwono na oścież otwarto
Wchodzi Wawrzak z walizką i głową zadartą.
Nie wita się i miejsca za biurkiem nie bierze
bo Wawrzak tutaj w innym dzisiaj charakterze
On naczelny jubilat; ma kartkę z przemową
i zebranym ogłosi uroczyste słowo.

A tu się gawiedź tłoczy głodna widowiska
Wawrzak stanął pośrodku, kartkę w ręku ściska
popatruje uważnie, tumult go nie peszy
zaraz uszy zebranych przemową ucieszy

W zasłuchaniu stanął brodaty Włodkowski
obok z plikiem poezyj uczony Rzymowski,
Grabski stoi z Majerem, Szypowska z Szymańskim
Binkowski stroi miny drocząc się z Wilmańskim.
Dalej Makowiecki z Jaździńskim pospołu,
I Blajer niecierpliwie czeka uciech stołu

Panie Lasoń i Jaros — dalej inne panie
Iwanicki tęsknie spozierając na nie
myślami biegnie kędy wiatr oknem powiewa
w róg komnaty, gdzie stoi z Pankiewiczów Ewa.
Frejdlich w ciżbę zaszyty nie rozmawia z nikim
i ukradkiem dopina ostatnie guziki.

Madejówna poprawia fryzurę wytworną,
Parys kryje w surducie jakieś fotki porno
Młodociany Soldenhoff na boki spoziera
i cichaczem butelkę siwuchy otwiera...

A Wawrzak prawi gromko, płyną ważkie słowa
Ale nikt nie wie, kiedy się skończy przemowa
W końcu przerwał. Kartkę trzymał. Wszystkim się zdawało
że Wawrzak mówi jeszcze, a to echo grało.

propozycje

SPOJRZENIE W PRZYSZŁOŚĆ

Popełniono błąd już w chwili, kiedy ludzie nauczyli się sumować: jeden i jeden daje dwa i jeszcze jeden — to jest trzy. Doliczywszy się pięciu lat, ludzie doszli do wniosku, że już jest powód, aby zwołać nadzwyczajne zebranie, wygłosić okolicznościowy referat, rozdać nagrody i pochwały i tak narodziła się idea jubileuszy. Sumując później kolejne pięciolecia można obchodzić 10 lat czegoś tam, 15 lat czegoś tam i 20 lat czegoś tam. Teraz właśnie świętujemy 20 lat ukazywania się tygodnika społeczno-kulturalnego „Odgłosy".

Nie mam szczególnego powodu do tego, aby dzielić się z Czytelnikami swoimi wspomnieniami, bo są one nie takie znów wielkie. Piszę swoje felietony od kilku lat zaledwie i ani mi się równać z wieloletnimi felietonistami Ćwiekiem czy Widokiem. Oni niech więc wspominają. Jestem wobec nich „małoletnim pętakiem" i wara mi pchać się między starszych.

To wyznanie wszakże stawia mnie w trudnej sytuacji. Skoro nie mogę powspominać, a felieton ma być okolicznościowy, jubileuszowy i wspominkowy, to o czym tu dumać na łódzkim bruku i o czym pisać?

Dumać jest o czym. Ot, choćby o tym, że Wiesław Rogacki z łódzkiej rozgłośni Polskiego Radia stanął przed kioskiem i pytał ludzi o „Odgłosy". Mówili mu różne rzeczy. Jedni czytają, inni nie. Jedni wiedzą, co to za pismo, inni nie wiedzą. Normalnie. Jak w życiu. Ale jeden pan pomylił „Odgłosy" z „Głosem" i powiedział, że bardzo mu się gazeta podoba, tylko mało pisze o... modzie i żona się bardzo na to skarży. Dalibóg, my w ogóle o modzie nie piszemy, więc nie do nas te żale. Ale przypadki mylenia Odgłosów" z „Głosem" zdarzają się i to nas powinno martwić. Jest bowiem naszą ambicją być obecnym nie tylko w Łodzi, ale w Łodzi przede wszystkim, być obecnym w tym wszystkim co tu dzieje się dobrego i ciego. Dobre reklamować jako wzorce do naśladowania, a ze złem walczyć. Tak pojmujemy nasz obowiązek, ale czy wywiązujemy się z niego? Jest więc o czym podumać i właśnie dlatego, że to minęło 20 lat, jak pismo co tydzień ukazuje się w kioskach Łodzi i nie tylko.

Nasi przyjaciele z łódzkiej rozgłośni Polskiego Radia zrobili nam wspaniałą frajdę i całe sobotnie Studio 55 — emitowane początkowo na falach średnich i ultrakrótkich, a po godzinie 7 już tylko na ultrakrótkich — poświęcili „Odgłosom". Frajda polegała na tym, że zostaliśmy zaproszeni do studia i uczestniczyliśmy na żywo w robieniu radiowej audycji. Ucieszyło nas też i to, że zainteresowało naszych przyjaciół z PR w Łodzi pismo, z którym wielu radiowców współpracowało, współpracowało. Henryk Polak, który audycję prowadził, pisywał na naszych łamach, a Włodzio Łuszczykiewicz — jak sam się przyznał przed mikrofonem, rozmawiając z Bogdą Madej — dziennikarstwa uczył się w „Odgłosach". Pisywał na naszych łamach i Jarosław Warzecha, który też uczestniczył w tej audycji.

Wspominam o tym nie z wdzięczności dla kolegów z bratniej redakcji, w pracach której i nam zdarzało się brać udział, a już najwięcej Jerzemu Wilmańskiemu, którego tam traktuje się jak doświadczonego radiowca, ale wspominam o tym dlatego, że przy tej okazji uświadomiliśmy sobie wszyscy kilka prawd, o których na co dzień się nie pamięta.

Przede wszystkim prawda podstawowa. Co by się o „Odgłosach" nie mówiło, co by się nie myślało, to od 20 lat towarzyszą one życiu miasta i regionu i spełniają pewną określoną funkcję. Przygotowując radiową audycję o łódzkim tygodniku musieliśmy mimo woli przypomnieć sobie tę bogatą plejadę autorów, którzy pisywali na naszych łamach. Iluż tu właśnie zaczynało, tu drukowało swoje pierwsze teksty. I pismo spełnia tę rolę nadal w stosunku do młodych i chce ją dalej spełniać.

Po drugie. Na łamach „Odgłosów" można znaleźć odbicie tego, co działo się w kulturalnym życiu Łodzi. Może źle, że jest to tylko odbicie, że pismo spełnia rolę bardziej kronikarza niż ośrodka wpływającego na politykę kulturalną, ale zespół sobie tę wadę uświadomi i będzie się starał o inne podejście do spraw kultury.

Po trzecie. Nie wolno nam zapominać, że nosimy podtytuł: tygodnik społeczno-kulturalny. Jeśli w sprawach kultury nie spełnialiśmy zawsze, bo to różnie bywało w różnych okresach, roli czynnika kształtującego politykę kulturalną w regionie, to byliśmy przynajmniej kronikarzami życia kulturalnego, to w tym drugim członie — w życiu społecznym często nas brakowało. Różne interesujące sprawy dziejące się w Łodzi i mogące zainteresować Czytelników z innych regionów umykały nam. Myślę, że i tej wady powinniśmy się pozbyć.

Starczy chyba tego. Audycja poszła w eter. Wnioski wyciągnięto. Koniec z samokrytyką. Wypijmy toast za to, co było i do roboty, aby w następnym 20-leciu było lepiej!

MARCIN RODAK

MAGAZYN kulturalny

BOMBA SEZONU

Rys. S. Ibis-Gratkowski

Kazimierz Dejmek jako „Wolny strzelec" (premiera — 19 marca 1978 r.)

ZDZIWIENIA

* * *

Fragment dialogu w telewizyjnym „Studio 2" między redaktorami — Sznukiem a Mikołajczykiem:

Red. Sznuk: „...sędziwa jubilatka dochowała się 250 dzieci, wnuków, prawnuków i prapra-wnuków..."

Red. Mikołajczyk: „... Gdyby każdy z nich składał jubilatce życzenia tylko jedną minutę, ceremonia ta trwałaby dwie i pół godziny..."

Otóż wg czasu środkowo-europejskiego ceremonia taka trwałaby cztery godziny i dziesięć minut. Czas telewizyjny — jak widać — liczy się inaczej: godzina zawiera, według red. Mikołajczyka, 100 minut, co jest absolutnym światowym rekordem.

* * *

W „Literaturze" z „ławki rezerwowych" pisze „rezerwowy Syski": „piłkarzom naszym towarzyszyła w Jugosławii i Kuwejcie „jako maskotka" pani L. spikerka telewizyjna i ma ponoć w tymże celu towarzyszyć do Argentyny (...) Być może te wojaże finansowane są z kiesy innego Związku, ale uważam jednak, że kto inny powinien wyjeżdżać, a kto inny siedzieć w domu".

Ciekawe czy w najbliższym numerze „Literatury" przeczytamy wyjaśnienie w tej sprawie prezesa Henryka Loski z Polskiego Związku Piłki Nożnej.

Z ŁODZI I OKOLIC

„Piskle już się zaczęło wykluwać ze skorupki — poczekajmy, może wyrośnie z niego łabędź..." — pisze Jerzy Panasewicz w recenzji z drugiej kabaretowej premiery w „Domu Środowisk Twórczych". Słowa te pasują jak ulał do aktualnej sytuacji łódzkiego kabaretu. Jeszcze raźniejsze piskle wyfrunęło spod skrzydeł dyrektora „Estrady" Andrzeja Jóźwiaka (kury, która znosi „złote jajka"...?). „Wielki szpan" — to jest to! — zgodnym chórem krzyknęli recenzenci, choć piskle rysy miało dość niezdecydowane (Kabaret? Rewia? Widowisko? A może wszystko razem?). Za to dziobek — ostry...

*

Miecz katowski można zobaczyć na wystawie z okazji 400-lecia Trybunału Koronnego w zamku w Piotrkowie. Podejrzewa się, że mieczem tym ścięto za bluźnierstwo głowę krakowskiemu aptekarzowi Kalaborowi. W ramach Dni Piotrkowa zamierza się również przedstawić inscenizację procesu sprzed 400 lat.

*

Z dwoma nowymi programami wystąpił na deskach łódzkiej opery Polski Teatr Tańca — Balet Poznański, kierowany przez Conrada Drzewieckiego. Balet tym razem raczej rozczarował.

*

Do Szwecji wyjechał „Teatr 77", gdzie we współpracy ze sztokholmskim „Teater 9" powstaje spektakl „Skrzyżowanie". „Nasz projekt jest całkowicie dobrowolną formą współpracy, której celem jest konstruowanie rzetelnych przyjaźni i porozumień ponad granicami kultur, państw i systemów" — powiedział przed wyjazdem „Teatru 77" jego dyrektor Zdzisław Hejduk. Widzowie łódzcy obejrzą „Skrzyżowanie" podczas majowych Spotkań Teatralnych.

*

Najstarszy widok piotrkowskiego rynku odkryto niedawno w zbiorach Biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego.

*

Ukazał się „Diariusz kultury łódzkiej 1945—1947". Zawiera on z górą pół tysiąca informacji. Recenzenci podkreślają nieocenioną wartość tego dokumentu i postulują potrzebę dalszych tego typu badań i monografii.

*

Z dużym opóźnieniem doszło do nowej premiery w Teatrze Muzycznym. Mimo to nie zdążono wydrukować programów. Trudy i koszty inscenizacji przerosły wszystkie dotychczasowe. „Gaspatone" kłuje w oczy operetkowym przepychem, niewspółmiernym do „głupiutkiej zabawy", „urodzaczych bzdurek" (A. Iżykowska), jakie propenuje autor — Karl Millöcker. Mimo wszystko nowa premiera każe wierzyć w „lepsze jutro" TM.

*

Karol Baraniecki, Andrzej Grun i Józef Skomeczny wzięli udział w Światowym Salonie Rysunku Satyrycznego „Montreal-77". Dotarł do nas pięknie wydany katalog tej wystawy, w którym znalazły się również rysunki łodzian. W przygotowaniu zbiorowa wystawa 3 autorów.

*

Natomiast prace innego łodzianina — Leszka Rózgi, reprezentowały w gronie 4 Polaków nasz kraj na IV Międzynarodowym Triennale Sztuki w Delhi, obok autorów z 40 państw.

*

Cała nieomal prasa krajowa doniosła o przyznaniu Kazimierzowi Dejmkowi wysoko cenionej nagrody austriackiej im. Herdera. Ostatnio Dejmek reżyserował w Zurychu najnowszą sztukę Dürrenmatta „Zwłoka". Wraz ze scenografem A. Majewskim i zespołem Teatru Nowego K. Dejmek przygotowuje polską prapremierę politycznej farsy Dürrenmatta (kwiecień 1978).

*

W Zduńskiej Woli oddano do użytku Spółdzielcze Centrum Kultury. W Skierniewicach otwarto kinoteatr „Polonez". W ciągu najbliższych dwóch lat nowe domy kultury powstaną w Piotrkowie, Bełchatowie i Opocznie.

*

Pionierski lektorat wymowy sądowej zorganizowano w Łodzi. Wykładowcami będą znani adwokaci, aktorzy i pracownicy nauki. Zajęcia będą otwarte dla szerokiej publiczności. Polecamy je nie tylko młodym prawnikom i miłośnikom pięknego języka!

*

Wycieczki do łódzkiego „Hollywoodu" organizuje „Express". Spodobały się. Będą kontynuowane.

*

„Publiczność przyjmuje całość w głębokim skupieniu, wstrząśnięta do głębi..." — relacjonuje łódzkie przyjęcie „Oratorium oświęcimskiego" Mieczysław Jagoszewski.

*

Wacław Tymiński, woźny ze Szkoły Podstawowej nr 193 w Łodzi, zdobył I nagrodę na ogólnopolskim konkursie krasomowczym im. Zenona Kiemeniewicza. Laureatką III nagrody jest nauczycielka łódzkiego przedszkola — Elżbieta Nowakowska. Jury przewodniczył aktor Jan Świderski.

*

W Wolborzu, przy trasie szybkiego ruchu Warszawa — Katowice powstanie skansen budownictwa ludowego ziemi piotrkowskiej. Wytypowano już obiekty, które zostaną przeniesione do skansenu.

*

Coraz atrakcyjniej obmyśla swoje imprezy Muzeum Historii Miasta. Ostatnio muzeum zaprosiło na benefis autorski czołowego łódzkiego architekta wnętrz — Stanisława Cucnity-Cukrowskiego. Goście mieli okazję skonfrontować architektoniczno-plastyczne projekty z przebiegiem prac remontowych i konserwatorskich w salach byłego pałacu Poznańskich.

*

Kształceniem społecznych organizatorów działalności artystyczno-estradowej oraz „osób mających potencjalne możliwości pełnienia w swoich domach kultury funkcji konferansjer sko-prezenterskich i wodzirejów zabaw" (S. Barzycki) zajmie się po raz pierwszy w kraju — w ramach tzw. Wszechnicy Estradowej — Stowarzyszenie Muzyki Estradowej w Łodzi.

*

O fatalnej, wręcz kompromitującej frekwencji na filharmonicznych koncertach pianisty Janusza Olejniczaka i dyrygenta Włodzimierza Kamirskiego — artystów lubianych i cenionych w kraju, donosi Anna Iżykowska-Mironowicz w recenzji zatytułowanej „Dla garstki słuchaczy..." („GR" nr 43).

*

Ostatnia dekada lutego i początek marca stały pod znakiem interesujących wydarzeń teatralnych. Teatr Nowy gościł — w ramach wymiany — Teatr im. Słowackiego z Krakowa (z „Lilą Weneda" i „Mazepą"), a następnie wrocławski Teatr Polski (z „Lilla Weneda" i w zabijanego"). Natomiast w „Pinokiu" widowisko „Johannes doktor Faust" zaprezentował lubelski Teatr Lalek im. Andersena. Dużym zainteresowaniem cieszy się również ostatnia premiera Teatru Powszechnego „Lot nad kukułczym gniazdem" w reżyserii Lidii Zamkow.

*

W dniach 17—19 marca 1978 roku odbędzie się w Łodzi kolejny V Ogólnopolski Przegląd Piosenki Turystycznej „YAPA-78".

NOWA KNAJPA DLA ARTYSTÓW

Lada dzień łódzkie środowisko artystyczne otrzyma nową restaurację. Zlokalizowano ją w rejonie ulic Targowej i Fabrycznej. Funkcji ajenta podjął się Wydział Aktorski PWSFTviT. Szefową kuchni została ob. L. Zamkow (wielokrotna laureatka krakowskiej Złotej Patelni). Trwają prace nad przygotowaniem czterech aż powitalnych uczt. Salonowiec łyka ślinkę. I oczekuje zaproszenia.

DYREKTOR NA SCENIE

W ciągu dwóch dni nauczył się trudnej — ze względu na popisy akrobatyczne — roli, dyrektor jednego z łódzkich teatrów. Dyrektor fikał koziołki z wielkim poświęceniem (Salonowiec świadkiem). Plan i honor sceny uratowany.

WYZNANIE PO LATACH

Do ataków histerii w czasie oglądania przedstawień w Teatrze Nowym przyznała się po latach ob.A. Krajewska-Wieczorek. Na łamach „Kalejdoskopu" ob. Krajewska wyjaśniła, iż bezpośrednia przyczyna choroby był demonizm artystki dramatycznej ob. I. Pieńkowskiej. Aktorkę zatrzymano dla udzielenia niezbędnych wyjaśnień. Po przeprowadzeniu wywiadu — zwolniono.

MODNE MĘSKIE TRÓJKĄTY

Z baletu moda na męskie trójkąty zakradła się do literatury. Autorami scenariusza telewizyjnego cyklu „Parada oszustów" są: Jerzy Janicki, Andrzej Kudelski i Witold Adamek. Natomiast do powstania najnowszej wersji libretta operetki „Gasparone" walnie przyczynili się: Tadeusz Kuczyński, Józef Prutkowski i Edmund Nowakowski. Co na to panie?

WYBRANO PREZESA

Prezesem Komitetu Organizacyjnego Międzynarodowych Zawodów Kulturystycznych „Pabianice 78" został ob. Morzyszek Andrzej. W związku z tym faktem przypomina się ob. Prezesowi, że życiowa po-

SALONOWIEC

trzebą Salonowca jest bywanie na wszelkich imprezach, których nazwy rozpoczynają się od prefiksu „kult". Przypomnienie nie wymaga uzasadnień. Oczekiwane zaproszenie.

ROZRZEWNIŁA SALONOWCA

szczera deklaracja, poczyniona przez reżysera filmów dziecięcych ob. Jadwigę Kędzierzawską na łamach poczytnego „Expressu". Ob. Reżyser zapewniła bowiem, że gdyby (cytujemy) była krawcowa, szyłaby tylko dziecięce ubranka, a będąc szewcem — robiłaby tylko małe butki... Więc są jeszcze dobrzy ludzie na tym świecie?!

ZAMKOW O INDIANACH

Lidia Zamkow wypowiedziała się w kwestii indiańskiej. Był pretekst. Komentarzy — brak.

PO ZNAJOMOŚCI

Sylwetkę Andrzeja Makowieckiego, znanego kornecisty, tudzież wokalisty jazzowego, przypomniał Andrzej Karolczak. Fakt ten odnotujemy ze względów koleżeńskich.

OBIECUJĄCE SPOTKANIE

Jeżeli nic nie stanie na przeszkodzie, dojdzie do spotkania Jóźwiaka z Jaworskim. Miasto czeka w napięciu.

WYRÓŻNIENI?

Z całkowicie niezrozumiałych przyczyn w marcowym numerze „Kalejdoskopu" pominięto nazwiska kilkunastu zastępców dyrektorów. Wyróżniono jedynie v-ce dyrektora Bogdana Kondziowskiego (Teatr Wielki i v-ce dyrektora Włodzimierza Michalskiego (Teatr Muzyczny). Piętnujemy to zaniedbanie (?) na prośbę zainteresowanych.

PYTANIE BEZ ODPOWIEDZI

„Czy chciano nam wmówić, że wszystkie aktorki to córy Koryntu?" — zapytuje po premierze „Lili" A. Iżykowska—Mironowicz. Ze strony dyrekcji Teatru Muzycznego na razie brak wyjaśnień.

GICGIER KOSMONAUTĄ?

Warszawa (od naszego stałego korespondenta). Tadeusz Gicgier wystąpił w organie jako miłośnik kosmosu. Oto próba autocharakterystyki: „Tak astronomię kocha, że wciąż buja w obłokach". Portret Tadeusza Gicgiera (w obłoku) sporządziła Anna Kołakowska.

PRZYJĘCIE U MACHEJKA

Kraków. Jak się dowiadujemy, z okazji Dnia Kobiet Lucyna Skompska i Dorota Chróścielewska zostały w dniu 5 marca br. przyjęte przez ob. red. M. Machejka. W spotkaniu uczestniczył ob. red. Tadeusz Śliwiak.

SPRAWY DO WYJAŚNIENIA

Red. Bogdan Słowikowski dotarł do Edyty Wojtczak. Wynikiem spotkania była rozmowa, w której jednak co najmniej dwie wypowiedzi indagowanej wymagają wyjaśnienia. Interesuje nas, o kim myślała ob. Wojtczak, używając sformułowania „u nas" w stwierdzeniu: „U nas można mówić najwyżej o chałupnictwie"? Ob. Wojtczak zapewniła również, iż jest „normalnym telewidzem". Pytanie: a któż to u nas jest nienormalny? Czy red. Słowikowski będzie mógł nam to wyjaśnić?

Z FRONTU ROBÓT

Wielkie dni przeżywa Łódzki Dom Kultury. Po długich oczekiwaniach przystąpiono tu do remontu. Wśród pomieszczeń jeszcze nietkniętych znajduje się m.in. kawiarnia. Sadzimy, że ze względu na stały wyszynk piwa, stan ten utrzyma się dość długo. Obiekt cieszy się bowiem zrozumiałym powodzeniem u budowlanych. Bawiąc niedawno w kawiarni ŁDK Salonowiec zanotował interesujące spostrzeżenie, wyrosłe z wielogodzinnych obserwacji spragnionych brygad w kolejce do źródła. „Łatwo jest pijąc piwo rozłożyć dom kultury, trudniej złożyć" — zauważył inteligentnie młody poeta ob. W.W.

PANTOFLE ZGUBIŁY BRUCZA

— ogłosił na łamach „Literatury" Adam Ważyk, sugerując, iż jedynym motywem słynnego w latach dwudziestych plagiatu była chęć zdobycia pieniędzy na kupno nowych trzewików. „Oczywiste jest to, że pantofle zgubiły Brucza" — stwierdza Ważyk.

„KARTOTEKA"

„To wszystko jest składanie, które się złożyć nie może" — wydusił kiedyś ściszonym głosem przez ściśnięte gardło poeta Różewicz. Zdanie to, acz zwięzłe, wyjaśnia sens „Kartoteki". Sens, podkreślmy z całą stanowczością, społecznie niebezpieczny i szkodliwy.

Defetystom wszelkiej maści, patentowanym leniom, miglancom i nygusom, „urodzonym w niedzielę" i urodzonym czarnowidzom, partaczom i wszystkim, którzy do roboty mają po dwie lewe ręce, pan Różewicz wkłada — w te felerne rączki — nie lada argument i podpiera je jeszcze własnym autorytetem, obywatelskim i moralnym, autorytetem pisarza.

Należy za wszelką cenę powstrzymać pochód „Kartoteki" przez sceny, bo za parę lat, gdy tylko wzrośnie filozoficzna samowiedza i intelektualna potencja rodaków, marsz ten może przynieść nieobliczalne dla społeczeństwa skutki! Już teraz żądają znajomości prawd p. Różewicza na maturze, a co będzie za lat kilkanaście czy kilkadziesiąt?

KRZYWA W PIONIE

„Miała ciało szczupłe, jędrne i złociste jak dziewczynka. Brzuch był płaski i nie szpecił go ani jeden gram zbędnego tłuszczu. Wydawało się, że to drobne i muskularne ciało nie wie, co to proces starzenia się..."

OD RED.: Mimo wielu zażartych i namiętnych sporów nikomu jak dotąd, nie udało się wyjaśnić w sposób zadowalający, co właściwie mieli na myśli twórcy kabaretu Domu Środowisk Twórczych, opatrując go tajemniczym tytułem „Krzywa w pionie". Również i nasza redakcja otrzymała w tej sprawie wiele telefonów i listów z prośbą o pomoc w egzegezie. Wyjaśniamy więc, że — wbrew pozorom — rozwiązanie zagadki nie jest wcale trudne i leży w zasięgu możliwości wszystkich widzów (czytelników), także tych, których wykształcenie nie przekracza niepełnego podstawowego, a wiek — lat trzynastu. Z pewnością w każdym domu znajduje się choćby mały (np. w opracowaniu K. Kumanieckiego. Warszawa 1965) Słownik łacińsko-polski, książeczka, która, jak nam się wydaje, powinna nie być obca każdemu inteligentnemu rodakowi (tym bardziej, że ze znajomości łaciny słyniemy w całym świecie). Sięgamy więc na półkę po ów mały słownik i otwieramy go na stronie 138. Wystarczy teraz przeczytać treść pierwszych trzech haseł (u góry prawej szpalty), a z pozoru skomplikowana zagadka wyjaśni się sama... Teraz porównujemy łacińskie słówka z obrazkiem i tajemnica staje przed nami CAŁYM SWYM OTWOREM.

OGŁOSZENIA DROBNE

Zbliża się kolejna wolna sobota i z tego tytułu polecamy naszym Czytelnikom kilka szczególnie pasjonujących lektur. Do nabycia w każdej księgarni: „Paprochy", „Watykan", „Parszywiec", „Warzywa korzeniowate i rzepowate", „Zaborybogady", „Podręcznik traktorzysty", „Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie bar Cin-Cin" (poezje).

* * *

Od dłuższego czasu i wciąż bezskutecznie PDT „Centrum" O/Łódź ogłasza na łamach „GR" że posiada do odprzedania taśmę „g". Sadzimy, że oferta ta mogłaby zainteresować którąś z instytucji kulturalnych specjalizujących się w produkcji seryjnej.

* * *

Coraz częściej dochodzą nas z rozmaitych środowisk skargi na występujące w tychże, niebezpieczne (prze)ciągi awangardowe. Jak nam doniesiono, zgubne to zjawisko wyniszczyło już spory zasób młodych i zdolnych twórców. Sytuacja ta wzbudziła zrozumiały niepokój w ich starszych kolegach, mistrzach i opiekunach.

Nasza redakcja od dawna poszukiwała skutecznego środka. Genialnie prosty i z pewnością zbawienny środek podsunął nam w końcu znajomy rolnik spod Uniejowa. ZAINTERESOWANYM ODSTĄPI ON CHĘTNIE SZEŚĆ TON SIANA. Podajemy telefon gospodarza: 731-40.

* * *

Gorąco zachęcamy instytucje oraz indywidualnych twórców do ogłaszania się na naszych łamach. Najbardziej dowcipne ogłoszenia będą nagradzane. Przesyłajcie je pod adresem organu macierzystego, z dopiskiem: MAGAZYN KULTURALNY.

KĄCIK LOKALNY

Dziś: cztery skojarzenia

Pierwsze: Gdańskie środowisko literackie otrzymało własne czasopismo-almanach, zatytułowany celnie: PUNKT. Okoliczność ta zwraca naszą uwagę na podobne pismo pod tytułem OSNOWA, którego widmo straszy w Łodzi od dawna. Od trzech lat jednak trwają prace nad ponownym zmaterializowaniem ducha. Autorzy otrzymali już honoraria, A OSNOWY — ani widu.

Drugie: Po Radomiu „teatr bez aktorów" powstał (z pomocą sił warszawskich) w Siedlcach. Przed rokiem słyszeliśmy o podobnym pomyśle Piotrkowa (w oparciu o łódzki potencjał reżysersko-aktorski). Ucichło jednak. Tymczasem własne sceny mają już, poza wymienionymi, Legnica, Elbląg i Słupsk. Piotrków ma tylko przegląd teatrów publicystycznych (co 2 lata). I, jak widać, inne kłopoty na głowie.

Trzecie: W końcu lutego w Filharmonii Narodowej odbył się koncert pięciu polskich kompozytorów najmłodszego pokolenia. Pytanie: Czy w Łodzi istnieją młodzi twórcy (tak zwanej muzyki poważnej)? A jeśli tak, to gdzie prezentują swe twory? Główni adresaci: Związek Kompozytorów, J.M. Rektor Płoszaj, Dyr. Czyż.

Czwarte, częściowo wierszowane: Wizyta teatrów z Krakowa i Wrocławia (w ramach wymiany z łódzkim Teatrem Nowym) przypomniała (nie tylko nam) o zaniedbaniach lokalnych teatrów w zakresie klasyki polskiej dramaturgii (zainteresowanie licealistów „Kartoteką" przeszło oczekiwania, bilety przypadły w wyniku „konkursu" tylko niektórym szkołom). Kierownikom artystycznym dedykujemy ten prosty rym:

Choćbyś nawet „Colodentem"
Ruszał w gębie i codziennie,
Nie załatasz, dyrektorze,
Dziury, co się świeci w zębie

TWÓRCA wśród wielbicielek

Z cyklu „Twórcy w czasie pracy twórczej" przedstawiamy dziś sylwetkę interesującego poety młodego pokolenia Z. J. w gronie wielbicielek i sympatyków.

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 652-41 i 680-99. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 556. I-10.